

ANDRZEJ MILCZANOWSKI

we wspomnieniach

ANDRZEJ MILCZANOWSKI WE WSPOMNIENIACH

Redaktor prowadzący
Kaja Popoff-Szczepańska

Redakcja językowa i korekta
Izabela Laskus-Rock
Izabela Paczesna

Skład
Agnieszka Dębska

Projekt okładki
Aleksandra Bednarczyk

© Copyright by Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego 2025

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ISBN: 978-83-968287-8-1

Wydawnictwo Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego
Centralny Ośrodek Szkolenia i Edukacji
im. gen. dyw. Stefana Roweckiego „Grota”
05-462 Wiązowna, ul. Nadwiślańczyków 2
tel. (+48) 22 58 58 613
e-mail: wydawnictwo@abw.gov.pl
www.abw.gov.pl/wyd/

Zamknięto i oddano do druku w lipcu 2025 r.

Spis treści

Szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego	
Wstęp	5
Andrzej Milczanowski	
Jak trafiłem do Urzędu Ochrony Państwa	9
Krzysztof Bondaryk	
Majster państwo polskie traktował poważnie	33
Gromosław Czempiński	
Minister Andrzej Milczanowski	41
Henryk Jasik	
Wspomnienie o Andrzeju Milczanowskim	51
Andrzej Kapkowski	
Minister na miarę czasów	57
Grzegorz Kapla	
Pomorskie reminiscencje	63
Andrzej Kosnarewicz	
Spotkanie z Andrzejem Milczanowskim	71
Dariusz Łuczak	
Fundament etosu służby	81
Piotr Niemczyk	
Człowiek z brązu	89

Irena Popoff	
Pan Andrzej Milczanowski, Szef, Majster...	95
Wojciech Raduchowski-Brochwicz	
Andrzej Milczanowski. Służba i przyjaźń (1990–2024)	103
Edward Radziewicz	
Jak starszy brat	111
Michał Stręk	
Andrzej Milczanowski – lider, nie majster	117
Jan Wesołowski	
O Andrzeju mniej oficjalnie	123
Jan Widacki	
Z Andrzejem Milczanowskim przejście przez Zawrat	129
Marian Zacharski	
Wspomnienie o Ministrze Andrzeju Milczanowskim	143
Andrzej Milczanowski. Portrety i dokumenty	151
O autorach	193
Od wydawnictwa	199

Wezwał mnie do siebie minister Krzysztof Kozłowski i pyta, czy chciałbym zostać Szefem Urzędu Ochrony Państwa. Powiedziałem, że absolutnie nie, ponieważ bardziej odpowiada mi funkcja zastępcy, zarówno pod względem roboczym, jak i stabilności. Po jakimś tygodniu czy dwóch zostałem mianowany Szefem UOP¹ – tak z przybliżeniem oka wspominał swoje początki w Urzędzie Ochrony Państwa Andrzej Milczanowski, który z prawnika, działacza podziemia solidarnościowego i melomana stał się wybitnym państwowcem oraz legendarnym założycielem służb specjalnych wolnej Polski.

Był postacią niezwykle. Kamienna twarz, groźnie zmarszczone brwi i przenikliwe spojrzenie – tak charakteryzują Go wszyscy ci, którzy mieli okazję Go poznać i z Nim pracować. Podczas oficjalnych narad i spotkań głównie milczał i uważnie słuchał, ale kiedy już się odezwał, to swoją wypowiedzią rozwiązywał wszystkie dyskutowane problemy, w wyważony sposób uwzględniając wszelkie „za” i „przeciw”. Należał do nielicznych osób, które nie tylko właściwie odczytywały ducha czasów, lecz także miały odwagę kształtować niepodległość. *Państwowiec z krwi i kości* – powtarzają wszyscy, których poprosiliśmy o podzielenie się wspomnieniem o Nim.

Sprawał wrażenie niedostępnego, na wskroś poważnego człowieka. Jednak niektórym udało się poznać Go z drugiej, mniej oficjalnej strony. Jedną z miłości Jego życia była muzyka. W domu miał tysiące płyt, sam często grywał na pianinie. Zdarzało się, że razem

¹ K. Popoff-Szczepeńska, *Historia mówiona służb po 1990 r.*, w: *Urząd Ochrony Państwa 1990–2002*, Z. Nawrocki (red.), Warszawa 2015, s. 181.

z prof. Jerzym Koniecznym dawali dla wybranych kameralne koncerty „na cztery ręce”. Minister mówił, że muzyka towarzyszyła Mu od zawsze. W jednym z wywiadów dla magazynu muzycznego opowiadał: *Na początku siedziałem w Koronowie i każdego ranka z konieczności słuchałem dziarskich piosenek żołnierskich, między innymi w wykonaniu Maryli Rodowicz. Później radiowęzeł obsługiwał więzień, który musiał być zafascynowany Carlosem Santaną, ponieważ puszczał go bez opamiętania. W Potulicach nadawano muzykę poważną. Pamiętam Dworzaka i jego „Tańce słowiańskie” (...).* Ten sam wywiad zakończył w charakterystyczny dla siebie sposób: *Nie wiem, czy mi pan uwierzy, ale wolalbym być dobrym pianistą jazzowym niż ministrem spraw wewnętrznych.*

Historia naszego kraju pokazuje, że każdy jej istotny etap miał swoich bohaterów – wybitne jednostki, które dokonywały zmian, wpływały na rozwój wypadków i zmieniały bieg zdarzeń. Andrzej Milczanowski był niewątpliwie jednym z takich właśnie bohaterów okresu transformacji ustrojowej. Był człowiekiem, który mimo tego, że Jego serce rwało się do jazzu, niemieckiej poezji czy filozofii, to wziął na swoje barki trud rozmontowania starego systemu poprzez budowę nowoczesnych służb wolnego państwa, a następnie własną służbę dla niego. Dokonał tego z poczucia obowiązku wobec Ojczyzny. Wspomniany obowiązek, odpowiedzialność za swoje decyzje i obietnice oraz niezmordowana konsekwencja – to były cechy, które Go charakteryzowały i które wzbudzały szacunek podwładnych i współpracowników.

O takich postaciach należy głośno mówić i, jak sugeruje autor jednego z tekstów, wznosić im pomniki z brązu, a także dbać o to, by ich autorytet nie popadł w zapomnienie. Warto je stawiać za wzór dla młodych pokoleń, które budują naszą codzienność oraz będą miały wpływ na przyszłość i kształt kraju, w jakim będziemy żyć.

Oddając w Państwa ręce tę publikację, pragniemy uhonorować pamięć niezwykłego człowieka, podziękować Mu za Jego postawę i służbę dla Polski. I jest dużo prawdy w tym, co, wspominając Ministra, napisał jeden z Jego przyjaciół: *kto uważa, że nie ma ludzi niezastąpionych, musiał nie znać Andrzeja Milczanowskiego.*

Szef
Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego
płk Rafał Syrysko

Andrzej Milczanowski

Jak trafiłem do
Urzędu Ochrony Państwa

Zanim przejdę do tematu, kilka słów o tym, co robiłem przed podjęciem służby w UOP.

Byłem człowiekiem „Solidarności”. W sierpniu 1980 r. byłem członkiem Komitetu Strajkowego Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej w Szczecinie (przez wiele lat pracowałem tam jako radca prawny). Po sierpniowych strajkach zostałem radcą prawnym i doradcą Zarządu Regionu „Solidarności” w Szczecinie oraz Komisji Zakładowej „S” Stoczni im. Adolfa Warskiego, z ramienia której brałem udział w posiedzeniach w sieci komisji zakładowych NSZZ „S”, wiodących zakładów pracy w Polsce. W grudniu 1981 r., po wprowadzeniu stanu wojennego, byłem członkiem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego „S” Regionu Pomorza Zachodniego. Za organizowanie i kierowanie tym strajkiem oraz za „osłabianie mocy obronnych PRL” zostałem skazany w trybie doraźnym przez Sąd Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy na 5 lat pozbawienia wolności. Karę tę, złagodzoną na mocy amnestii do 2 lat i 4 miesięcy, odbyłem. Z więzienia w Braniewie wyszedłem 15 kwietnia 1984 r. W pobliżu więziennej bramy czekała na mnie rodzina oraz Lech Wałęsa i Jacek Merkel.

Powróciwszy do Szczecina, utworzyłem w lipcu 1984 r. wspólnie z kilkoma przyjaciółmi, m.in. Longinem Komołowskim, Władysławem Diczkiem i Jackiem Saukiem, kierującymi podziemnymi zakładowymi strukturami „Solidarności” oraz podziemnymi wydawnictwami, podziemną regionalną strukturę „S” – Radę Koordynacyjną NSZZ „S” Regionu Pomorza Zachodniego, której

zostałem członkiem, a właściwie nieformalnym przewodniczącym. Wkrótce zostałem członkiem podziemnych krajowych kierownictw „Solidarności” – najpierw Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej (TKK), a potem Krajowej Komisji Wykonawczej (KKW). Od maja 1989 r. byłem również członkiem Prezydium KKW.

W sierpniu 1988 r. zostałem członkiem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „S” w Szczecinie (strajki Portu Szczecińskiego, Komunikacji Miejskiej i Zakładu Budownictwa Kolejowego), zaś od jesieni 1988 r. – Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Kilka miesięcy później brałem również udział w obradach podstolika prawnego przy Okrągłym Stole. Powyższe fakty przytoczyłem po to, aby nie było wątpliwości co do mojej proveniencji.

Zaraz po mających miejsce w sierpniu 1988 r. szczecińskich strajkach zapowiedziałem publicznie, że odejdę z „Solidarności” po odzyskaniu przez Związek prawa do legalnej działalności. Ponowna rejestracja „Solidarności” nastąpiła w połowie kwietnia 1989 r. (byłem jednym z wnioskodawców). Pod koniec listopada 1989 r. na II Regionalnym Zjeździe Szczecińskiej „S” zdałem sprawozdanie z działalności szczecińskiego podziemia z okresu, kiedy nim kierowałem, tj. od lipca 1984 r. Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią nie kandydowałem do władz regionalnych związku. Na początku grudnia 1989 r., na posiedzeniu Prezydium KKW NSZZ „S” w Gdańsku, złożyłem rezygnację z funkcji członka Prezydium KKW oraz członka KKW. Wkrótce wyjechałem prywatnie do Stanów Zjednoczonych. W czasie mojego pobytu w USA uzyskałem od żony przez telefon informację, że próbowała się skontaktować ze mną telefonicznie Kancelaria Premiera Tadeusza Mazowieckiego.

Do kraju wróciłem w kwietniu 1990 r. Niezwłocznie stawiłem się w Kancelarii Premiera Tadeusza Mazowieckiego, od którego otrzymałem propozycję objęcia funkcji zastępcy Prokuratora Generalnego. Za propozycję podziękowałem, jednak stwierdziłem, że nie

widzę się na tym stanowisku. Premier przyjął moją odpowiedź jako uchylenie się od odpowiedzialności, zwłaszcza, że zaznaczyłem, że jeśli otrzymam propozycję innej pracy, zgodnej z moimi zainteresowaniami, niezwłocznie ją podejmę. W tym momencie Premier zaproponował mi służbę w Urzędzie Ochrony Państwa. Bez namysłu wyraziłem zgodę. Coś mnie ciągnęło do pracy w służbach, przy czym okolicznością szczególnie dla mnie interesującą była kwestia tworzenia nowych służb specjalnych państwa demokratycznego (6 kwietnia 1990 r. została uchwalona ustawa o Urzędzie Ochrony Państwa).

Wkrótce z rąk Premiera Tadeusza Mazowieckiego otrzymałem nominację na stanowisko Zastępcy Szefa UOP (z dniem 11 maja 1990 r.). Szefem UOP został mianowany Pan Krzysztof Kozłowski, znany działacz opozycji demokratycznej, długoletni zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”, człowiek o szerokich horyzontach, wybitnej inteligencji i wysokiej kulturze osobistej, doskonale rozumiejący interes państwa. Te cechy Ministra, w połączeniu z jego nieposzlakowaną uczciwością i odwagą cywilną wyrażającą się m.in. w prezentowaniu ocen i poglądów nierzadko „idących pod prąd” wobec niektórych „prawd obiegowych”, dawały gwarancję apolityczności i praworządności działań UOP i MSW.

Rzecz jasna, już na wstępie Minister Kozłowski omówił ze mną priorytetowe kwestie, jakie należało zrealizować w związku z likwidacją Służby Bezpieczeństwa i ustawowym nakazem zorganizowania UOP. Przypomnę, iż ustawa z dnia 6 kwietnia 1990 r. weszła w życie w dniu ogłoszenia, tj. 10 maja tegoż roku. Ustawa ta obligowała ministra spraw wewnętrznych do zorganizowania Urzędu Ochrony Państwa w ciągu 3 miesięcy od dnia jej wejścia w życie. Rada Ministrów została zobowiązana do ustalenia trybu i warunków przyjmowania do służby w UOP i w innych jednostkach organizacyjnych podległych ministrowi spraw wewnętrznych kandydatów i byłych funkcjonariuszy SB. W sprawie przyjmowania do nowo powstałej służby byłych funkcjonariuszy SB Rada Ministrów w dniu 21 maja 1990 r. przyjęła uchwałę nr 69.

Na czele Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej stanął Minister Krzysztof Kozłowski. Mnie powołano na przewodniczącego Komisji Kwalifikacyjnej ds. Kadr Centralnych. W województwach działały wojewódzkie komisje kwalifikacyjne. We wszystkich komisjach zasiadali m.in. działacze opozycyjni, przedstawiciele NSZZ „S”, przedstawiciele istniejących wówczas partii politycznych, członkowie policyjnego związku zawodowego, zaś w komisjach wojewódzkich – Komendanci Wojewódzcy Policji lub delegowani przez nich przedstawiciele.

Trzeba zaznaczyć, że na podstawie Zarządzenia nr 043/90 Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 10 maja 1990 r., z tymże dniem Służba Bezpieczeństwa zaprzestała działalności, z wyjątkiem kontynuacji operacji wywiadowczych i kontrwywiadowczych mających istotne znaczenie dla bezpieczeństwa państwa (wyjątek dotyczył również osób podejrzanych o szpiegostwo lub dokonanie zamachu terrorystycznego). Swoje zadania wykonywało nadal również Biuro Szyfrów.

Tak więc w ciągu kilku miesięcy musieliśmy zorganizować Urząd Ochrony Państwa (Centralę i jednostki terenowe), przeprowadzić weryfikację funkcjonariuszy SB, dokonać naboru do służby w UOP, a jednocześnie nadzorować działalność wywiadu, kontrwywiadu i Biura Szyfrów we wskazanym wyżej zakresie. Do tego dochodziło rozwiązywanie wielu innych problemów, związanych m.in. z podziałem lokali i sprzętu między Policję i UOP na terenie całego kraju, z bezprawnym niszczeniem dokumentów (przede wszystkim dotyczących agentury) oraz z wieloma innymi kwestiami.

Dnia 11 maja 1990 r., z podpisaną przez Premiera nominacją na stanowisko Zastępcy Szefa UOP pojawiłem się w Biurze Przepustek MSW przy ulicy Rakowieckiej. Przybyłem na uzgodniony wcześniej termin rozmowy z gen. Czesławem Kiszczakiem – ministrem spraw wewnętrznych. Byłem już po rozmowach z Ministrem Krzysztofem Kozłowskim. W Biurze Przepustek czekałem około 20–25 minut.

W tym czasie w pobliżu pojawił się wysoki, starszy, uważnie mi się przyglądający pan z bródką. Zapamiętałem go. Już w pierwszych dniach mojej pracy w UOP dowiedziałem się, że jest to płk Bronisław Zych, zastępca dyrektora I Departamentu (Wywiadu).

Gdy wszedłem do sekretariatu ministra, sekretarka – starsza pani – zaanonsowała mnie gen. Kiszczakowi. Siedząc w gabinecie przy okrągłym stoliku, piliśmy herbatę i rozmawialiśmy przez kilka godzin na różne tematy – o sytuacji politycznej i gospodarczej, zadaniach związanych z organizacją UOP i o działaniach różnych służb w przeszłości i aktualnie.

Z gen. Kiszczakiem zetknąłem się wówczas po raz pierwszy. Znałem jego oficjalny życiorys, a także opinie niektórych przedstawicieli opozycji demokratycznej, którzy poznali go wcześniej (m.in. mecenasa Władysława Siły-Nowickiego). Generał był inteligentnym i przenikliwym rozmówcą, a wypowiedziane przez niego uwagi i oceny świadczyły, że jest nie tylko nietuzinkowym wysokim oficerem służb specjalnych, ale również politykiem. Wiem, iż niektórzy oficerowie MSW uważali, że generałowie Jaruzelski i Kiszczak niepotrzebnie oddali władzę opozycji, pozostawiając swoich podwładnych samym sobie. Pretensje te uważam za niesłuszne. Obaj generałowie prawidłowo oceniali sytuację, wiedzieli, że Związek Radziecki słabnie i zaczyna się rozpadać, że przemiany demokratyczne są nieuchronne. Otwartą sprawą była kwestia kosztów przemian, które będzie musiało ponieść społeczeństwo. Na szczęście proces transformacji ustrojowej przebiegał pokojowo, o czym zadecydowały rozsądek i rozwaga obu stron.

Z gen. Kiszczakiem miałem okazję rozmawiać kilkakrotnie. Za każdym razem rozmowa miała interesujący przebieg. Trzeba zaznaczyć, że do momentu odejścia z MSW w lipcu 1990 r., gen. Kiszczak nie ingerował w proces organizacji UOP.

Z wrażeń i spostrzeżeń natury ogólnej dotyczących tamtego okresu mogę przytoczyć dwa, które szczególnie utkwiły mi

w pamięci. Po pierwsze – przed podjęciem służby w UOP od kilku działaczy opozycji słyszałem o ich złym samopoczuciu związanym z pobytem w gmachu MSW przy ul. Rakowieckiej. Mówili mi o odczuciach związanych z samym budynkiem, abstrahując od czynności podejmowanych wobec nich przez funkcjonariuszy SB. Moje pierwsze wrażenie, ugruntowane następnie przez codzienne przebywanie w tym gmachu było odmienne. Oceniałem wówczas i nadal tak uważam, że budynek jest funkcjonalny, odpowiadający swemu przeznaczeniu (mniejszą część budynku zajmuje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych). Długość korytarzy była (i jest) imponująca. Żartowałem, że mogłyby być wykorzystywane do treningu biegaczy. Po drugie – w pierwszych tygodniach pracy w UOP między mną i kierownictwem poszczególnych jednostek (wywiadu, kontrwywiadu oraz innych) była odczuwalna atmosfera nieufności. Przeglądaliśmy się sobie nawzajem, podejrzewając drugą stronę o złe intencje. O ile mi wiadomo, byłem uważany za solidarnościowego radykała, po którym można się było spodziewać zamiarów odwetowych. Ja natomiast podejrzewałem dyrektorów i naczelników jednostek o wprowadzanie mnie w błąd i ukrywanie rzeczy istotnych. W miarę upływu czasu poznawaliśmy się coraz lepiej, dochodząc do wniosku, że w zasadzie chodzi nam o to samo: by móc służyć państwu i realizować się w bardzo odpowiedzialnej pracy.

Sądzę, że w dalszej części tego artykułu należy obszerniej omówić kilka istotnych zagadnień, dotyczących w szczególności:

- oceny Służby Bezpieczeństwa,
- organizacji UOP,
- opcji zerowej i szansy dla oficerów SB,
- weryfikacji i przyjmowania do służby,
- kwestii ujawniania agentury SB.

Zanim omówię wymienione wyżej zagadnienia, muszę wspomnieć o nieocenionej pomocy, jaką w sprawach organizacji UOP, weryfikacji, przyjmowania do służby oraz w wielu innych kwestiach

okazali Ministrowi Kozłowskiemu i mnie młodzi absolwenci różnych kierunków studiów (niektórzy z nich byli pracownikami naukowymi), uprzednio związani z Niezależnym Zrzeszeniem Studentów oraz Ruchem „Wolność i Pokój”. Zostali oni zatrudnieni w jednostkach organizacyjnych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych bądź Urzędu Ochrony Państwa. Pierwszy „zaciąg” Ministra Kozłowskiego stanowili: Piotr Stachańczyk, Konstanty Miodowicz, Bartłomiej Sienkiewicz (z Krakowa) oraz Wojciech Brochwicz i Kazimierz Mordaszewski (z Białegostoku). Ja sprowadziłem ze Szczecina Piotra Niemczyka. Wszystkie te osoby pracowały po kilkanaście godzin dziennie, zapoznając się z materiałami dotyczącymi pracy służb i funkcjonariuszy (kadry MSW), ci ludzie często stanowili forpocztę poczynań Ministra Kozłowskiego i moich. Działali z entuzjazmem, ale też rozważą, zaś ich oceny i propozycje były przez Ministra Kozłowskiego i przeze mnie brane pod uwagę przy podejmowaniu istotnych decyzji.

Moja ocena Służby Bezpieczeństwa

W słowie wstępnym do książki autorstwa Mariana Zacharskiego pod tytułem „Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski. Wbrew regułom”, napisałem m.in.:

„Nie mogę się zgodzić z jednostronnymi, uogólniającymi ocenami działalności wywiadu i kontrwywiadu oraz innych jednostek Służby Bezpieczeństwa po 1956 roku. W strukturach służb specjalnych PRL (w tym wywiadu i kontrwywiadu) wówczas działających zdarzały się w niemałej liczbie działania przestępcze. Niemniej nie można rzucać anatemy na wszystkich czy nawet większość funkcjonariuszy. Działania służb specjalnych niezależnie od ustroju – mogą być i bywają dotkliwe dla osób, w które są wymierzone, względnie których dotyczą. Dotkliwość ta mieścić się powinna w określonych granicach i nie naruszać przepisów prawa, choć w pewnych sytuacjach mogą pojawiać się wątpliwości co do stosowania tej

zasady (np. przy werbunku źródeł). Oceny mówiące o przestępczym czy nawet zbrodnictwym charakterze służb specjalnych PRL działających w okresie lat 1957–1990 uważam za przesadzone. Przypadki rażącego łamania prawa zdarzają się wszystkim służbom, niezależnie od ustroju politycznego, choć działania służb PRL były bardziej represyjne, przede wszystkim ze względu na ich skalę. Trzeba też pamiętać, że służby te stały na straży nonsensownych ograniczeń praw i wolności obywatelskich, ograniczeń ustanowionych przez decydentów politycznych. Niemniej uważam, iż należy zachować umiar w ocenie działań służb PRL-owskich w latach 1957–1990. W czasie mojej pięcioletniej pracy – najpierw w UOP, a potem w MSW – poznałem setki oficerów byłej SB – wywiadu, kontrwywiadu, Biura Szyfrów, Biura Śledczego, ale także policji politycznej (Departamentu III, Departamentu V), obserwacji, techniki i ewidencji. W trakcie weryfikacji, następnie przyjmowania do służby w UOP, a potem wspólnej pracy, poznałem ich dość dobrze, a z niektórymi – m.in. z Marianem Zacharskim – zaprzyjaźniłem się. Wielu z nich uważam za znakomitych profesjonalistów, a niektórzy pokazali, że godność i honor to wartości dla nich istotne”¹.

Całkowicie podtrzymuję wyrażoną wyżej opinię.

Organizacja UOP

Po licznych dyskusjach i propozycjach dotyczących rozwiązań organizacyjnych (napływających z różnych źródeł), przyjęliśmy z Ministrem Kozłowskim następujący schemat struktury organizacyjnej Urzędu Ochrony Państwa:

- Zarząd I Wywiadu, dyrektor – płk Henryk Jasik,
- Zarząd II Kontrwywiadu, dyrektor – płk Andrzej Sroka, od listopada 1990 r. ppor. Konstanty Miodowicz,
- Zarząd III Śledczy, dyrektor – Wojciech Bazydło, po kilku miesiącach – płk Wiktor Fonfara,

¹ M. Zacharski, *Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski. Wbrew regułom*, Zysk i S-ka 2009, s. 8–9.

- Biuro Prezydialne, p.o. dyrektora – kpt. Jerzy Gałęzia, po kilku miesiącach dyrektor płk Wacław Brzęk,
- Biuro Kadr, dyrektor – ppor. Kazimierz Mordaszewski,
- Biuro Obserwacji, dyrektor – ppłk Jerzy Groberek,
- Biuro Techniki, dyrektor – płk Leonard Kubiak,
- Biuro Ewidencji i Archiwum, dyrektor – płk Kazimierz Piotrowski,
- Biuro Analiz i Informacji, dyrektor – ppor. Konstanty Miodowicz, od listopada 1990 r. ppor. Piotr Niemczyk,
- Biuro Szyfrów, dyrektor – płk Zygmunt Kozanecki,
- Biuro Finansów, dyrektor – płk Hieronim Wycisk,
- Biuro Administracyjno-Gospodarcze, dyrektor – płk Roman Hołdys, po kilku miesiącach mjr Ryszard Sawarzyński.

(Podałem takie stopnie dyrektorów, jakie wówczas posiadali. W dalszej części artykułu będę się trzymał tej zasady).

W większości delegatur utworzono również Wydziały Zamiejscowe (potocznie zwane Placówkami).

Urząd Ochrony Państwa posiadał wówczas 2 ośrodki szkoleniowe: w Kiejkutach i w Łodzi.

W zupełnie nowej sytuacji ustrojowej i politycznej Polski trzeba było określić kierunki działań liniowych służb operacyjnych, zabezpieczając je pod względem kadrowym, sprzętowym i szkoleniowym.

W Zarządach I i II powstały nowe wydziały (m.in. zajmujące się kierunkiem wschodnim oraz zwalczaniem terroryzmu). Położono też nacisk na zwalczanie przestępczości zorganizowanej o charakterze aferowym (np. sprawa Art.B, FOZZ), produkcji i przemytu narkotyków oraz handlu nimi, handlu bronią i materiałami rozszczepialnymi.

Trzeba podkreślić, że zarówno dyrektorzy zarządów i biur w Centrali, jak i szefowie delegatur – wraz z podległym personelem kierowniczym – wykonali w tamtym czasie ogromną pracę, dzięki której Urząd Ochrony Państwa mógł rozpocząć działalność w pełnym zakresie w przewidywanym ustawowo terminie.

Opcja zerowa lub szansa dla oficerów SB?

Przed przystąpieniem do organizacji UOP trzeba było odpowiedzieć sobie na wyżej postawione pytanie. Minister Kozłowski i ja byliśmy w tym względzie jednomyślni. Do służby w UOP trzeba było wybrać najlepszych spośród pozytywnie zweryfikowanych oficerów. Jednak pozytywna weryfikacja nie oznaczała automatycznego przyjęcia do służby. Była jednak warunkiem podstawowym.

Odrzucając opcję zerową, uważaliśmy z Ministrem Kozłowskim, że w okolicznościach zasadniczych zmian ustrojowych Polska musi posiadać „od zaraz” sprawnie działające służby specjalne. Otwarte granice, wynaturzenia i patologie towarzyszące procesowi powstawania gospodarki wolnorynkowej, niski poziom dyscypliny społecznej, chęć wielu osób do bogacenia się za wszelką cenę, również w sposób naruszający prawo, zmiana sojuszy, coraz wyraźniejsze oznaki poważnego kryzysu politycznego i gospodarczego w ZSRR – cały ten, niepełny zresztą, zestaw okoliczności aż nadto przemawiał za odrzuceniem opcji zerowej.

Weryfikacja

Weryfikacji poddało się niewiele ponad 14 tysięcy osób. W sumie pozytywnie zaopiniowano około dziesięć i pół tysiąca funkcjonariuszy, zaś blisko trzy i pół tysiąca negatywnie. Z pozytywnie zweryfikowanych w UOP zatrudniono ok. 5 tysięcy.

Wyniki weryfikacji ogłoszone przez niektóre wojewódzkie komisje kwalifikacyjne w terenie budziły głębokie zdumienie. Oto w kilku województwach, w których po wprowadzeniu stanu wojennego „Solidarność” i opozycja demokratyczna nie przejawiały prawie żadnej działalności, komisje kwalifikacyjne urządziły „prawdziwą rzeź”, oceniając negatywnie ponad 50, 60, a nawet 70% funkcjonariuszy SB.

Natomiast w kilku województwach (np. szczecińskim i gdańskim), gdzie opór społeczny w tamtym czasie był znaczny i widoczny, negatywnie zweryfikowani stanowili kilkanaście procent.

Przewodniczyłem Komisji Kwalifikacyjnej ds. Kadr Centralnych. Doradcą i ekspertem tej komisji był płk Andrzej Kapkowski. „Oszczędziliśmy” wówczas zdecydowaną większość oficerów, którzy stanęli do weryfikacji. Jednak spora część od weryfikacji się uchyliła, przechodząc na emeryturę.

Patrząc z perspektywy czasu, oceniam, że nie uniknąłem pewnych błędów. Wbrew opiniom płk. Henryka Jasika, ppłk. Gromosława Czempińskiego, ppłk. Bogdana Libery i mjr. Andrzeja Stachurskiego, w decydujący sposób przyczyniłem się do negatywnej oceny płk. Aleksandra Makowskiego i ppłk. Wiesława Bednarza, wybitnych oficerów wywiadu, którzy mieli to nieszczęście, że przez kilka lat przed 1990 r. pracowali w wydziale XI (ideologicznym) Wywiadu PRL. Wydział ten m.in. rozpracowywał zagraniczne struktury „Solidarności”, podejmował działania zmierzające do likwidacji przerzutów z zachodu do krajowych struktur solidarnościowego podziemia sprzętu poligraficznego, pieniędzy oraz innego rodzaju pomocy. Przyznać trzeba, że w tej działalności Wydział XI odniósł znaczące sukcesy, w czym było wiele „zasług” płk. Makowskiego i ppłk. Bednarza. Zamiast zatem pozyskać tych oficerów do służby w Wywiadzie UOP w myśl zasady, iż profesjonalistów, którzy stali po przeciwnej stronie należy wykorzystywać, dałem się zasugerować treścią nazwy „wydział XI”, która miała jakby magiczne znaczenie (w sensie negatywnym). W ten sposób oceniłem wspomnianych oficerów, kierując się względami ideologicznymi, a nie chłodnym pragmatyzmem. A pierwszeństwo winien mieć interes państwa.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, widzę, iż nie wykorzystaliśmy optymalnie szansy przyjęcia do służby rzeczywiście najlepszych oficerów. Stało się tak z kilku powodów. Jeden wymieniłem wyżej. Z drugiej strony, kierownictwo poszczególnych jednostek (zarządów,

biur, a w terenie delegatur) dążyło do przyjmowania do służby w UOP możliwie największej liczby pozytywnie zweryfikowanych funkcjonariuszy SB, często nie zwracając uwagi na ich braki zarówno profesjonalne, jak i inne. Ponadto często decydenci, przyjmując do służby byłych funkcjonariuszy, mieli zbyt mało czasu i danych, by móc prawidłowo ocenić ich przydatność. Uwagi te dotyczą przede wszystkim jednostek operacyjnych – liniowych i pomocniczych, a także jednostki śledczej, zarówno w Centrali, jak i w delegaturach. Niemniej trzeba podkreślić, że weryfikacja miała niewątpliwie pozytywny, oczyszczający wpływ na środowisko oficerów SB, którzy jej się poddali. Uchybieniami, czy też błędami, które popełniono podczas postępowania weryfikacyjnego, w żaden sposób nie można obciążać funkcjonariuszy.

Kwestia ujawniania agentury SB

Od początku transformacji temat ewentualnego ujawnienia agentury SB budził liczne emocje i spory. Od wielu lat obserwuję niezdrowe zainteresowanie licznych środowisk tą kwestią. Jak głoszą niektórzy współcześni „inkwizytorzy”, agent służb PRL-owskich powinien publicznie wyznać swoje winy i pokajać się. Wówczas będzie można rozważyć kwestię przebaczenia. Absolutnie pomija się przy tym prawo do wstydu, które przynależy każdemu człowiekowi.

W czasie ostatnich dwudziestu lat zwróciło się do mnie kilka wcześniej znanych mi osób, zwierając się z faktu współpracy ze służbami PRL i prosząc o radę co do dalszych zachowań. W większości była to współpraca wymuszona groźbami ujawnienia kompromitujących danych z życia prywatnego bądź wynikała ona ze strachu przed aresztowaniem lub innymi represjami (nie związanymi jednak z przymusem fizycznym). Staralem się tych znajomych uspokajać, nie mogąc zresztą nic więcej dla nich zrobić. Uświadamiałem sobie jednocześnie, że nie chcę być sędzią ich sumień.

Stanowczo muszę powiedzieć: byłem i nadal jestem przeciwny ujawnianiu agentury SB. Każdy przypadek wymaga indywidualnego oglądu i oceny, bez rozgłosu i medialnego wrzasku. Agencja była i jest jednym z najważniejszych instrumentów w rękach służb od początków ich istnienia, niezależnie od rodzaju ustroju politycznego. Nie sądzę, aby jakkolwiek służba wyeliminowała możliwości stosowania nacisku psychicznego (np. groźby ujawnienia kompromitujących materiałów) jako jednej z podstaw werbunku. Rozpętanie burzy dotyczącej ujawniania nazwisk agentów SB spowodowało trudności z pozyskiwaniem przez obecne służby wartościowej agentury.

Podzielam zdanie byłego Prezesa Trybunału Konstytucyjnego, Jerzego Stępnia, który w uzasadnieniu jednego z orzeczeń, opowiadając się za ograniczonym dostępem do akt służb PRL-owskich, stwierdził m.in., iż Trybunał jest przeciwny temu, „by wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich”.

Wracając do kwestii organizowania i formowania Urzędu Ochrony Państwa, chcę zaznaczyć, iż okres służby w UOP zaliczam do najważniejszych wydarzeń zawodowych mojego życia. Jestem dumny z faktu, iż od 11 maja do 31 lipca 1990 r. sprawowałem funkcję Zastępcy Szefa UOP, a od 1 sierpnia 1990 r. do 31 stycznia 1992 r. byłem Szefem tego Urzędu. Przyjmuję całkowitą odpowiedzialność za działania Urzędu Ochrony Państwa w okresie, w którym nim kierowałem. Była to trudna służba. Ale było warto.

Pragnę zaznaczyć, iż niniejszy artykuł ma jedynie charakter szkicowy i dotyczy zaledwie kilku zagadnień².

² Niniejszy tekst jest przedrukiem artykułu A. Milczanowskiego *Jak trafiłem do Urzędu Ochrony Państwa*, który ukazał się w numerze specjalnym „Przeglądu Bezpieczeństwa Wewnętrznego” pt. *20-lecie UOP/ABW*, Warszawa 2010, s. 41–48.

Biogram:

Milczanowski Andrzej Stanisław ur. 26 maja 1939 Równe, Wołyń, działacz NSZZ „Solidarność”, prawnik. Studia: Wydz. Prawa UAM. Praca: Prokuratura Powiatowa w Szczecinie: 1962-1968 aplikant, asesor, podprokurator; 1968-1980 radca prawny niektórych przedsiębiorstw gospodarki komunalnej w Szczecinie; w sierpniu 1980 członek Komitetu Strajkowego WPKM Szczecin; wrzesień 1980 – grudzień 1981 doradca i radca prawny Zarządu Regionu Pomorza Zachodniego NSZZ „Solidarność” oraz Komisji Zakładowej NSZZ „S” Stoczni Szczecińskiej; w grudniu 1981 roku, po wprowadzeniu stanu wojennego członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego, aresztowany 15 grudnia 1981 roku, skazany w trybie doraźnym na 5 lat pozbawienia wolności i 3 lata utraty praw publicznych (wyrok złagodzone na zasadzie amnestii do 2 lat i 4 m-cy pozbawienia wolności i 3 lat utraty praw publicznych); po wyjściu z więzienia (w kwietniu 1984 roku) przewodniczący Rady Koordynacyjnej NSZZ „S” Regionu Pomorza Zachodniego (podziemnego kierownictwa szczecińskiej „Solidarności”); od listopada 1984 roku członek Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej (TKK) NSZZ „Solidarność” – podziemnego Krajowego Kierownictwa Związku; od października 1987 roku do grudnia 1989 roku członek Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”, jawnie działającego krajowego kierownictwa „Solidarności”; w sierpniu 1988 roku członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” w Szczecinie; od 12 września 1988 roku sekretarz jawnie działającego Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego w Szczecinie; od września 1988 roku członek Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie; uczestnik obrad „Okrągłego Stołu” w podzespole ds. reformy prawa i sądów (1989); od 11 maja 1990 roku Zastępca Szefa zaś od 1 sierpnia 1990 do 31 stycznia 1992 Szef Urzędu Ochrony Państwa; od 5 czerwca 1992 do 10 lipca 1992 sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych pełniący jednocześnie obowiązki Szefa UOP; od 11 lipca 1992 do 22 grudnia 1995 Minister Spraw Wewnętrznych; od 22 lutego 1996 do 26 maja 2009 notariusz; od 27 maja 2009 roku emeryt.

Odnznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski (1995); laureat Nagrody Wolności duńskiej Fundacji imieniem Paula Lauritzena (1988) oraz nagrody Polcul Foundation za udział w rozwoju niezależnej kultury polskiej (1989).

Szczecin, 31 maja 2014 r.

Andrzej Milczanowski

Biogram spisany przez Andrzeja Milczanowskiego
31.05.2014 r.

Źródło: prywatne zbiory Kaji Popoff-Szczepańskiej.

Szczytno, 1 czerwca 2014 r.,

Pani Kajo,

W nawiązaniu do ostatniej rozmowy telefonicznej przekazyję 3 zdjęcia.

Pierwsze: zrobione 15 kwietnia 1984 roku w Braniewie, w kilka minut po wyjściu przede mną z miejscowego więzienia.

Na zdjęciu oprócz mnie jest Lech Wąteśa, obok niego moja siostra Wanda Mileranowska, obok mnie żona Stanisława Mileranowska, w głębi są żona i moja córka Anna Mileranowska, obok niej mój przyjaciel Jacek Merkel (w okularach).

Wypędzono na wolność po 2 latach i 4 miesiącach uwięzienia, skazany wyrokiem Sądu Pomorskiego Okręgu Wąbrzeńskiego w Bydgoszcy w trybie danym na 5 lat pozbawienia wolności i 3 lata utraty praw publicznych. Skazano mnie za to, że:

- po ogłoszeniu stanu wojennego organizowaniem i kierowaniem strajkami w regionie Pomorza Zachodniego i Starej Gwini (wówczas imieniem Adolfa Wąteśy) - art. 46 dekretu o stanie wojennym
- po ogłoszeniu stanu wojennego udziałem moim obywatela PRL przy sporządzeniu i przekazywaniu aktów ^{zmilitaryzowanym} ~~politycznym~~ w regionie Pomorza Zachodniego odebrany wyrażający do podjęcia strajków - art. 48 dekretu o stanie wojennym.

Ko podstawie przepisów ustawy o amnestii z lipca 1983 roku karę pozbawienia wolności zmniejszono mi do 2 lat i 4 miesięcy w takim wymiarze odbyłem się w celi.





Andrzej Milczanowski po wyjściu z więzienia
w Braniewie 15 kwietnia 1984 r. w towarzystwie
(od lewej) żony Sławomiry, Lecha Wałęsy i siostry
Wandy, w głębi córka Anna i Jacek Merkel.

Źródło: prywatne zbiory Kaji Popoff-Szczepańskiej.

(2)

Na zdjęciu jestem w tej samej kurtce stożkowej w której byłem ubrany 15 grudnia 1981 w czasie zatrzymania mnie przez SB i ZOMO na terenie Stornii (w nocy z 14 na 15 grudnia 1981 roku zostały rozbite stożkowe bramy, na terenie Stornii wtedy oddziały wojska, ZOMO i funkcjonariusze SB).

Drugie: zrobione w listopadzie 1989 roku w siedzibie regionalnej sekcji, „Solidarności” w Szczecinie. Na tym zdjęciu trzymam w ręku ołtarzyk, w kłapie marynarki mam znaczek „Solidarności”. Wówczas, w listopadzie 1989 roku byłem sekretarzem Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego NSZZ „Solidarność” i członkiem Krajowej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność”.

„Solidarność” była Najważniejszą Sprawą i najważniejszą przygodą mojego życia.

Właśnie zebrał się kwesta czym zajmowałem się w „Solidarności” zatytułowany mój biogram.

Drugie zdjęcie (z ołtarzykiem w ręku i znaczkiem „Solidarność” w kłapie marynarki) zostało zrobione na kilka miesięcy przed podjęciem przez mnie służby w MO. Stąd uważam, że ~~zrobione ono miał być w moim wy-~~ zrobione w czasie służby w MO (11 maj 1990 - 31 styczeń 1992).



Andrzej Milczanowski w siedzibie szczecińskiej
„Solidarności”. Listopad 1989 r.

Źródło: prywatne zbiory Kaji Popoff-Szczepańskiej.

(3)

nie oddając (nie robić się) cel wyjechać na emerytalnym zdjęciu.
 Zdjęcie to lubię, bo wydaje mi się że uchwyciło na nim moje
 (charakterystyczne) ~~cechy~~, poza tym że wskazuje na więcej wygłoseń. Decyzję młoda
 „Schizofrenia” w kłacie marności jest dla mnie ważna.

Freud: zrobione w maju 1994 roku, w Centrali CIA w Langley
 (w głównym budynku), w czasie wizyty delegacji MOP
 w Stanach Zjednoczonych.

Serdce mi połamane. Proszę o przekazanie serdecznych po-
 zdrowień Mamie —

Andrzej Milczanowski

Zet:
 3 zdjęcia + 1
 1 brylant

P.S. Dodatkowo jeszcze jedno pamiątkowe zdjęcie (półmrok)

List Andrzeja Milczanowskiego do Kaji Popoff-
 -Szczepańskiej.

Źródło: prywatne zbiory Kaji Popoff-Szczepańskiej.



Andrzej Milczanowski w siedzibie CIA. Maj 1991 r.
Źródło: prywatne zbiory Kaji Popoff-Szczepańskiej.

Krzysztof Bondaryk

Majster
państwo polskie
traktował poważnie

Kluczem do opisania i zrozumienia tak wybitnej postaci polskich służb specjalnych, jaką był Andrzej Milczanowski, są słowa: lojalność, państwowość, odpowiedzialność. A do tego niezwykła otwartość, życzliwość, umiejętność słuchania i wyciągania wniosków. Dla nas wszystkich był nie tylko szefem, mentorem, lecz także przyjacielem i wzorem przełożonego. Nie znam drugiej osoby, która swoje obowiązki wobec państwa i podległych mu ludzi traktowałaby tak poważnie oraz z takim szacunkiem i oddaniem.

Poznałem go 10 lipca 1990 r. w Łodzi, kiedy wszyscy, którzy zostali wyznaczeni do tworzenia struktur terenowych nowo powstającej służby, dostali specjalne pełnomocnictwa. Na ich podstawie mieliśmy w trzy tygodnie zbudować jednostki terenowe pierwszej cywilnej służby specjalnej w wolnej Polsce. Ta misja wydawała się niemożliwą do wykonania, a jednak podjęliśmy się jej. Senator Krzysztof Kozłowski wraz z Andrzejem Milczanowskim powierzyli mi zadanie zbudowania Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Białymstoku – zostałem pełnomocnikiem szefa UOP ds. utworzenia Delegatury. Najpierw jednak musiałem mieć gdzie ją utworzyć. Personel, budynki, samochody, akta po Służbie Bezpieczeństwa były w gestii Wojewódzkich Urzędów Spraw Wewnętrznych, a w tym samym czasie byli już mianowani – z reguły na p.o. szefa – przyszli Komendanci Wojewódzcy Policji. Po drugie musiałem mieć z kogo ją utworzyć. Weryfikacja w tamtym dość specyficznym rejonie była bardzo trudna. Większość kadry została zweryfikowana negatywnie, a ci, którzy zostali ocenieni pozytywnie, w wielu

przypadkach rezygnowali ze służby ze względu na zależności rodzinno-koleżeńskie. Dla wielu osób był to wyjątkowo ciężki czas. Istniał jeszcze Związek Radziecki i nagle ci, którzy współpracowali z sojusznikami „zza płotu”, mieli stanąć przeciwko nim. Dochodziło do wręcz komicznych sytuacji. Szczególnie pamiętam jedną, bezpośrednio związaną z Andrzejem Milczanowskim. To było chyba w drugiej połowie sierpnia, czyli gdy UOP istniał od mniej więcej trzech tygodni. Przy granicy polsko-radzieckiej mieszkańcy terenów republiki litewskiej zaczęli żądać utworzenia przejścia granicznego w Ogrodnikach. Zaczęły się demonstracje, od razu pojawiły się tam wojska radzieckie. Zadzwoił do mnie Szeff Milczanowski i polecił wysłać na granicę funkcjonariuszy kontrwywiadu z mojej Delegatury. Zapytałem, czy wszystkich dwóch, bo właśnie tylu miałem wtedy na tym „odcinku”. W słuchawce zapadła cisza. Po chwili Szeff poprosił o określenie ilu ludzi potrzebuję do wsparcia, żeby należyście zbadać temat. On taki był. Jeśli cokolwiek się działo, chciał mieć informacje z pierwszej ręki, rzetelne, sprawdzone. Przysłał mi wtedy do pomocy ludzi z Warszawy.

Pracowaliśmy w bardzo trudnym środowisku. Zarówno ze względów kulturowych, religijnych, jak i położenia geograficznego. Poza tym na swoim terenie mieliśmy dwóch znanych polityków nowego demokratycznego układu (pośła Bronisława Geremka i senatora Andrzeja Wajdę), którzy nie do końca zdawali sobie sprawę z rodzaju ludzi, którzy wokół nich się kręcili i z silnych wpływów dawnych służb PRL. Andrzej Milczanowski wiedział, jak ważny jest odcinek wschodni i jak skomplikowana jest praca na nim. Pamiętam, że kiedyś pojechaliśmy z Wojciechem Brochwiczem prosić Szefa o interwencję – rozmowę z naszymi lokalnymi politykami, żeby kwestie personalne w UOP zostawili nam i nie ulegali namowom oraz sugestiom ludzi, których intencji nie byli w stanie ocenić.

A propos intencji i zależności, które siłą rzeczy przez lata PRL się potworzyły, zaproponowałem kiedyś Andrzejowi (to był chyba

grudzień 1990 r.), żebyśmy zrobili rzetelną kwerendę relacji i współpracy SB z KGB. Dopiero co ze służby odeszli ludzie, którzy mieli wiedzę, moglibyśmy dokładnie poznać pewne schematy działań, rozpoznać agenturę, rezydenturę. Wiem, że dla Niego to był ważny temat, którego podjęcie pomogłoby nam uniknąć wielu pomyłek, skutkujących zdarzeniami nawet w dzisiejszych czasach. Andrzej podjął wtedy inną decyzję. Tłumaczył mi, że ma świadomość konieczności takich działań, ale musimy skupić się na bieżących zagrożeniach, których nie można lekceważyć. Jego zdaniem do takiej kwerendy trzeba by skierować cały Urząd na rok. *Nie ma takich wolnych zasobów – tłumaczył – ale jeśli dacie radę dodatkowo pracować, to w delegaturze możecie się tym zająć* – dodał. Andrzej skupiał się na budowaniu nowej, profesjonalnej służby w demokratycznym państwie. Dla Niego to był priorytet. Potem przyznał mi jednak rację, że gdybyśmy wtedy się tym zajęli, to obecność rosyjskiej agentury nie odbijałaby się nam czkawką.

Nasza służbowa znajomość trwała dalej, gdy po zmianach politycznych Andrzej Milczanowski wrócił do resortu w lipcu 1992 r. na stanowisko ministra spraw wewnętrznych i administracji. Ceniłem nasze zawodowe relacje – zanim podjął jakąkolwiek decyzję, dowiadywał się, sprawdzał. Jako szef Delegatury UOP w Białymstoku kilkakrotnie referowałem Mu sprawy, którymi akurat się zajmowaliśmy.

Pamiętam, że jesienią 1995 r. zwrócił się do mnie z nietypową prośbą: chciał przyjechać do Białowieży i trochę tam pobyć. Powiedział, że musi coś przemyśleć, odciąć się od wszystkiego. Zorganizowałem ten pobyt w domku spotkań Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej, który leżał przy granicy, w środku lasu, w miejscu ówczesnie dość odosobnionym. Przyjechał tylko z kierowcą. Zrobiliśmy ognisko. Następnego dnia komendant obwiał Go bryczką po terenie, żeby choć trochę zwiedził Puszcze Białowieską. Do dziś krąży taki żart, że lokalny policjant zatrzymał tę bryczkę do kontroli

za rzekome przekroczenie prędkości. Podobno gdy zobaczył, kogo zatrzymał, natychmiast się zmył. Ale to tylko taka opowieść z przy-
mrużeniem oka... Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że potrze-
bowałem tych kilku dni w odosobnieniu w środku Puszczy Białowie-
skiej do przemyślenia ważnych decyzji osobistych i państwowych.
Pamiętam, że zanim wygłosił słynne przemówienie w sejmie, a na-
stępnie podał się do dymisji, spotkał się z wszystkimi bliskimi Mu
współpracownikami, w tym z szefami delegatur. Oficjalne poże-
gnanie z resortem odbyło się na placu apelowym w Dowództwie
Jednostek Nadwiślańskich Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy
ul. Podchorążych w Warszawie. Wtedy wielu z nas nie przewidywa-
ło, co się wydarzy. Potem zaczęły się różne rozliczenia w Urzędzie.
Odeszli generałowie Henryk Jasik, Wiktor Fonfara, Bogdan Libera
i Marian Zacharski, odszedł Konstanty Miodowicz, zdymisjonowa-
no Zarząd Śledczy, który opracowywał dokumenty procesowe
sprawy Olina.

Jako szefowie delegatur mieliśmy zwyczaj raz na jakiś czas spo-
tkać się, żeby omówić sprawy, nad którymi pracujemy na swoim
terenie. W maju 1996 r. pojechaliśmy do Zakopanego. Uczestni-
kami tego spotkania byli m.in.: pierwsi szefowie Delegatur UOP
w Bydgoszczy, Krakowie, Rzeszowie i Poznaniu – odpowiednio:
Zbigniew Nowek, Tadeusz Rusak, Michał Stręk, Maciej Urbański.
Rozmawialiśmy o firmie, sytuacji politycznej, o przyszłości. W dro-
dze powrotnej do Białegostoku wysiadłem w Warszawie i spotka-
łem się z Majstrem w domu Henia Jasika. Okazało się, że dom był
pod obserwacją. Natychmiast to nasze spotkanie zostało okrzyk-
nięte „spiskiem zakopiańskim”. Niedługo potem zostałem zdymi-
sjonowany. Andrzej wspólnie z Kostkiem Miodowiczem już wtedy
związali się z Instytutem Lecha Wałęsy. Dołączyłem do nich i to
była możliwość spotykania się w szerszym gronie, rozmów, wymia-
ny podglądów i zastanawiania się, co dalej.

Gdy minister Milczanowski postanowił całkowicie wycofać się z życia politycznego, nasze relacje rozluźniły się. Po 1997 r. wróciłem do pracy w MSW, później pracowałem w bankowości i telekomunikacji. Nasze kontakty były sporadyczne. Ponownie stały się bliższe, gdy zostałem szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wtedy poprosiłem Jego oraz senatora Krzysztofa Kozłowskiego o wsparcie prac Centralnego Ośrodka Szkolenia ABW w Emowie. Andrzej został członkiem Rady Konsultacyjnej. Był również fundatorem Fundacji Pomocy Rodzinom Funkcjonariuszy i Pracowników UOP i ABW. Na posiedzeniach Rady Fundacji starał się być do 2016 r. w miarę regularnie, mimo że przyjazd ze Szczecina był wyczerpujący. W późniejszych latach, z uwagi na pogarszający się stan zdrowia oraz pandemię COVID-19, Jego udział w pracach Rady Fundacji PROFiP był ograniczony. W tamtym czasie Andrzej całkowicie skupił się na prowadzeniu kancelarii notarialnej w Szczecinie. Bardzo długo musiał angażować się też w procesy dotyczące sprawy Józefa Oleksego. Po wielu latach oczyszczono Go z zarzutów. Był bardzo konsekwentny w swoich działaniach, utrzymywał kontakty z ludźmi zaangażowanymi w tę aferę, wspierał Mariana Zacharskiego, który z powodu tej sprawy był zmuszony wyjechać za granicę. Mimo niechęci do angażowania się w życie polityczne, wsparł Kostka Miodowicza, gdy ten kandydował do sejmu z list Akcji Wyborczej Solidarność w Skierniewicach. Andrzej taki był. Za swój obowiązek uważał pomaganie innym, wspieranie ich w miarę swoich możliwości, był lojalny do końca, bez względu na uwarunkowania i konsekwencje. Za to, co robił, zawsze brał pełną odpowiedzialność. Stąd Jego ogromne zaangażowanie w pomoc ludziom, którym tzw. ustawa dezubekizacyjna z grudnia 2016 r. uchwalona przez sejm głosami Prawa i Sprawiedliwości zabrała znaczną część emerytur. Andrzej uważał za niedopuszczalne takie potraktowanie tych, którym On w 1990 r. w imieniu państwa polskiego dał słowo

i szansę na pracę dla wolnej Polski. Pojawiał się na protestach, procesach, pisał pisma.

Raz byłem świadkiem sytuacji, która mogła być dla Andrzeja bolesna. Chyba w 2017 r. w ramach Klubu Obywatelskiego byliśmy razem na spotkaniu w Szczecinie (bo Andrzej miał dwie miłości: „Solidarność” i służby specjalne). To był czas, kiedy bardzo intensywnie i stanowczo bronił funkcjonariuszy, którym obniżono emerytury. W trakcie tego spotkania ludzie ze Stoczni Szczecińskiej, w której niegdyś kierował strajkiem, przypisali Mu zdradę kolegów. Zarzucili, że kiedyś sam stał na czele strajków, a po drugiej stronie byli funkcjonariusze aparatu PRL, których teraz broni. Tych ludzi. Mocno Go to zabolęło, ale sprzeciw wobec ustawy represyjnej był dla niego wyrazem lojalności w stosunku do suwerennego państwa polskiego. Tak rozumiał powagę państwa polskiego, dotrzymanie słowa i zobowiązań. I takiemu państwu dotrzymującemu zobowiązań, państwu poważnemu, jakim widział Polskę, Andrzej całe życie służył. Gdzie i komu tylko mógł, służył radą, pomocą, wiedzą i doświadczeniem.

Rozmawialiśmy czasami telefonicznie. Andrzej z powodu pogarszającego się stanu zdrowia nie opuszczał domu w Szczecinie. Dwa tygodnie przed śmiercią podczas naszej, o czym wówczas nie wiedziałem, ostatniej rozmowy prosił mnie o pamięć o tych, którym jeszcze nie zrekompensowano krzywd wyrządzonych przez ustawę represyjną i pomoc dla nich. Do samego końca czuł się odpowiedzialny za słowo dane przez państwo polskie i za wszystkich tych, którzy 35 lat temu w to państwo uwierzyli.

Gromosław Czempiński

Minister
Andrzej Milczanowski

Pana Andrzeja Milczanowskiego poznałem na początku 1990 r. Dokładnie nie pamiętam okoliczności tego zdarzenia. Był On jedną z tych osób, które wraz redaktorem Krzysztofem Kozłowskim z Krakowa zostały skierowane przez NSZZ „Solidarność” do resortu spraw wewnętrznych. Wśród nich byli Jerzy Konieczny, Jan Widacki, Bartłomiej Sienkiewicz, Konstanty Miodowicz, Wojciech Brochwicz, Kazimierz Mordaszewski, Jerzy Nózka i wielu innych. Zadaniem tej grupy było zreformowanie służb specjalnych podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, przede wszystkim wywiadu i kontrwywiadu, oraz likwidacja Służby Bezpieczeństwa (Departamentów III, IV, V, VI).

W kwietniu 1990 r. sejm uchwalił ustawę o Urzędzie Ochrony Państwa i likwidacji Służby Bezpieczeństwa. Powstająca demokratyczna III Rzeczpospolita potrzebowała bowiem nowych służb, aby chronić państwo przed wewnętrznymi i zewnętrznymi zagrożeniami. Wojska oraz struktury cywilnego i wojskowego wywiadu ZSRR nadal stacjonowały na terenie Polski. Krzysztof Kozłowski został mianowany szefem nowo powołanego UOP, a Andrzej Milczanowski – jego zastępcą.

W maju 1990 r. Centralna Komisja Kwalifikacyjna pod przewodnictwem ministra Kozłowskiego rozpoczęła weryfikację osób chętnych do służby w UOP. Podobne komisje powstały w każdym województwie. W Warszawie była to Komisja Kwalifikacyjna ds. Kadr Centralnych, której przewodniczył Andrzej Milczanowski.

To był czas, kiedy poznałem Go bliżej. Na początku mieliśmy kilka mało znaczących spotkań na temat pracy wywiadu. Sprawiał wrażenie człowieka mało komunikatywnego, trudnego rozmówcy. Pomyślałem wówczas, że nie wróży to dobrze osobom, które staną przed komisją. Jako oficerowie wywiadu odczuwaliśmy niepokój co do naszych dalszych losów, zastanawialiśmy się, co będzie z wywiadem jako całością i z jego źródłami. Zakładaliśmy, że nowi, którzy trafią do wywiadu, nie będą wiedzieli, na czym polega ta praca. Będą bagatelizować znaczenie wywiadu, lekceważyć potrzebę szkolenia itp. Baliśmy się przede wszystkim o agenturę, którą zdobywa się latami i którą należy bezwzględnie chronić. Historia, ciągłość pracy, zaufanie do umiejętności funkcjonariuszy i przede wszystkim ochrona źródeł to czynniki, którymi mierzy się wartość wywiadu. Jak wytłumaczyć nowym, że nasz wywiad i jego źródła są głęboko polskie i niezależne od Rosjan, że jesteśmy jedynym państwem bloku sowieckiego, która ma własną szkołę wywiadu z własnymi doświadczonymi wykładowcami, że szkolono nas w duchu patriotycznym, że jako jedyni ze służb mundurowych nie składaliśmy przysięgi przyjaźni z ZSRR, że uczono nas zdobywać informacje i przekazywać je do centrali, nie bacząc na ich poprawność polityczną? O tym wszystkim miałem okazję mówić nowym, w tym ministrowi Milczanowskiemu, Sienkiewiczowi, Brochwiczowi, Miodowiczowi.

W maju 1990 r. w imieniu wywiadu, jako naczelnik Wydziału Kontrwywiadu Zagranicznego, stanąłem przed komisją kwalifikacyjną, by charakteryzować poszczególnych oficerów pod kątem ich przydatności w nowej strukturze wywiadu. Trwało to trzy dni po kilka godzin dziennie. Wszyscy członkowie komisji byli bardzo dociekliwi w swych pytaniach, ale bez zbędnych złośliwości. Od tego momentu niemal codziennie spotykałem się z Andrzejem Milczanowskim, by toczyć długie i trudne dyskusje na temat oficerów zweryfikowanych, ale przede wszystkim – niezwyfikowanych.

Minister Milczanowski był nieugięty w swych postanowieniach. Wyczuwałem nawet dużą niechęć w stosunku do mnie. Bartłomiej Sienkiewicz ostrzegł mnie, bym był bardziej uległy wobec Ministra, bo mogę stracić możliwość służby w UOP.

Minister w tym czasie dostawał wiele anonimów od negatywnie zweryfikowanych oficerów SB, którzy wskazywali na wywiad jako służbę rozpracowującą „Solidarność”. Szef Milczanowski zarzucał mi kłamstwa dotyczące pracy Wydziału XI i jego oficerów. Pamiętam, że jedna z największych naszych kłótni dotyczyła płk. Aleksandra Makowskiego, o którego pozytywną weryfikację walczyłem. Minister nie zmienił jednak swojej decyzji.

W czerwcu 1990 r. do Warszawy przyjechała delegacja CIA na rozmowy z kierownictwem MSW. Okazało się, że ich celem było zabieganie o to, by zostawić kadry wywiadu z niewielkimi zmianami. Od swoich rosyjskich i polskich informatorów wiedzieli, że polski wywiad i jego oficerowie są niezależni w swych działaniach i wolni od rosyjskich wpływów, że są silnie związani z własnym krajem i stanowią profesjonalną służbę. Na dowód zaufania zaproponowali podjęcie natychmiastowej współpracy. Było to dla nas miłe zaskoczenie. Rozmowy z Amerykanami wpłynęły na zmianę nastawienia ministra Milczanowskiego. W czerwcu płk Henryk Jasik i ja zostaliśmy powołani na stanowiska szefa i zastępcy szefa nowo utworzonego Zarządu Wywiadu UOP. Minister Milczanowski spotykał się z nami niemal codziennie, powierzył nam zadanie stworzenia nowych struktur wywiadu. Pracowaliśmy wówczas po 12–14 godzin dziennie, raportując szefowi o postępach prac. Atmosfera była robocza, bez zbędnych słów. Minister oczekiwał, że będziemy od zaraz gotowi do realizacji zadań i że Go nie zawiedziemy. Reorganizacja nie spowodowała żadnej przerwy w pracy wywiadu. Szczegółowo omawialiśmy z Ministrem bieżące i przyszłe zadania, kładąc akcent na nowy priorytetowy kierunek pracy wywiadu – ZSRR. Były to ciekawe dyskusje, dotyczące m.in. struktury

i zasad pracy wywiadu, roli szkolenia (w tym szkoły w Kiejkutach), legalizacji pracy, rezydentur zagranicznej i krajowej, obiegu dokumentów, funkcjonowania w ramach resortu spraw wewnętrznych itp. Nabieraliśmy z płk. Jasikiem coraz większego zaufania do ministra Milczanowskiego, widząc Jego coraz większe przekonanie do roli wywiadu w rzeczywistości III RP. Był wobec nas bardzo wymagający i pragmatyczny, rzeczowy w swych oczekiwaniach. Żadnych pozornych ruchów i obietnic. Po weryfikacji nie wyczuwaliśmy już jakichkolwiek uprzedzeń w stosunku do oficerów. Byłem pod coraz większym wrażeniem Jego osobowości. Chciało się dla Niego pracować.

W sierpniu 1990 r. minister Milczanowski skierował mnie wraz grupą kilku oficerów i działaczy NSZZ „Solidarność” (były to osoby delegowane do pracy w różnych instytucjach centralnych nowego rządu RP) na kursy organizowane przez Departament Stanu USA. Było nas kilkudziesięciu. Szkolono nas na kursach dotyczących zarządzania kryzysowego (*Crisis Management*), sytuacji zakładniczych (*Hostage Situation*), negocjacji (*Negotiations*) itp. Było to szkolenie dla, jak podkreślili Amerykanie, głównie nowej polskiej administracji. Wróciłem do Polski po dwóch tygodniach, bo uznałem, że jako zastępca szefa wywiadu ds. operacyjnych powinienem być przede wszystkim w kraju. Zameldowałem się u ministra Milczanowskiego i zrelacjonowałem swoje wrażenia z pobytu w USA. Ucieszył się z mego powrotu, mówiąc, że teraz czas na solidną pracę.

Również w sierpniu tego roku Irak najechał na Kuwejt. Mój przyjazd ze Stanów był zatem bardzo na czasie. Zaczęliśmy analizować sytuację na Bliskim Wschodzie, zaktywizowaliśmy działalność naszych rezydentur w tym rejonie. Rozpoczęła się intensywna współpraca z CIA. Minister Milczanowski był na bieżąco informowany o rozwoju wydarzeń. W połowie września rezydent CIA poinformował nas, że kilku ich oficerów nie może wydostać się z Iraku. Zapytał o możliwość wywiezienia ich stamtąd przez naszą służbę.

Minister Milczanowski poprosił, by rozważyć przeprowadzenie takiej operacji. Powołany przez nas zespół kryzysowy gromadził informacje na temat wszelkich niebezpieczeństw, komplikacji, możliwych reperkusji międzynarodowych oraz zagrożeń dla polskich obywateli pracujących w Iraku w różnych polskich firmach. Po kilku dniach analiz, na początku września 1990 r., minister Milczanowski wyraził zgodę na opracowany plan ewakuacji. Sytuacja w Iraku była bardzo dynamiczna, mieliśmy chwile zwątpienia. Prowadziłem wtedy trudne rozmowy z szefem wywiadu płk. Jasiakiem oraz ministrem Milczanowskim. Byli bliscy odwołania akcji. Wskazywaliśmy na wiele nowych zagrożeń i zasugerowaliśmy, by o planach nie informować ministra spraw wewnętrznych Krzysztofa Kozłowskiego. Minister Milczanowski zgodził się na to i w razie fiaska operacji postanowił wziąć całą winę na siebie. I tak rozpoczęła się ewakuacja sześciu oficerów CIA i DIA. Miałem to szczęście, że osobiście dowodziłem i przeprowadziłem tę akcję, która 25 października 1990 r., zakończyła się sukcesem. Wróciłem do Polski po tygodniu. Minister Milczanowski przyjął mnie natychmiast, wyraził ogromną radość i dumę z polskiego wywiadu. Od tej pory nasze kontakty bardzo się zacieśniły.

Minister Milczanowski był na bieżąco informowany o akcjach wywiadu, głównie na kierunku wschodnim. Czuliśmy, że możemy na niego liczyć w trudnych sytuacjach. Rozwiązywał problemy, głównie logistyczne i finansowe, na bieżąco. Czuliśmy się z Nim związani i mieliśmy do Niego wyjątkowe zaufanie.

W grudniu 1991 r. premierem rządu został Jan Olszewski, a ministrem spraw wewnętrznych – Antoni Macierewicz, który mianował Piotra Naimskiego na szefa UOP. Był to bardzo trudny dla nas czas, głównie z uwagi na naciski ministra Macierewicza, by wywiad ujawnił swoje źródła w kraju i za granicą. Po upadku rządu premiera Olszewskiego w czerwcu 1992 r. Andrzej Milczanowski objął urząd ministra spraw wewnętrznych. Szefem UOP został

Jerzy Konieczny, wcześniej zastępca Milczanowskiego w Urzędzie. W grudniu 1992 r. minister Milczanowski mianował mnie zastępcą szefa UOP, a rok później – szefem. Od tej pory mieliśmy ze sobą znowu niemal codzienne kontakty. Zaprzyjaźniliśmy się. W tym czasie UOP miał wiele sukcesów. Minister często naradzał się przed posiedzeniami Rady Ministrów w sprawach dotyczących strajków, demonstracji, problemów polityki międzynarodowej itp. Czasem zabierał mnie do KPRM. Niekiedy prosił o pomoc w rozwiązywaniu sporów między resortami lub politykami. Był ponadpartyjny. Polska racja stanu była dla niego najważniejsza.

Andrzej Milczanowski wspierał także inicjatywę płk. Sławomira Petelickiego, zatwierdzoną jeszcze przez ministra Kozłowskiego, by stworzyć, szkolić i rozwijać umiejętności jednostki wojskowej GROM. Tę formację wykorzystał po raz pierwszy przy realizacji sprawy Art B w 1991 r. Jednostka zajęła siedzibę firmy w pałacu w Pęcicach, który dotąd wydawał się twierdzą trudną do zdobycia. GROM-owi zajęło to kilkadziesiąt sekund.

W 1994 r. minister Milczanowski zgodził się wysłać GROM na Haiti w ramach misji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Misja ta przyniosła międzynarodowe uznanie dla umiejętności jednostki. Decyzja Ministra, choć podejmowana w sporze kompetencyjnym z Ministerstwem Obrony Narodowej okazała się trafna.

Mój pierwszy spór z ministrem Milczanowskim dotyczył jego prośby o mianowanie Mariana Zacharskiego na szefa wywiadu. Uległem po około miesiącu, ponieważ uznałem, że ja sam i wywiad tak wiele zawdzięczamy Ministrowi, że nie mogę Mu odmówić. Po tygodniu Zacharski zrezygnował, jednak zauważyłem, że minister Milczanowski był nim zauroczony. Jest to bowiem oficer owiany legendą osiągnięć na terenie USA, spędził z tego powodu cztery lata w amerykańskim więzieniu, jest inteligentny i wyjątkowo towarzyski. Szybko stał się bliski Ministrowi. Miało to wpływ na przebieg tzw. sprawy Olina. Minister zdał się w niej całkowicie

na Zacharskiego. Oznaczało to, że mój kontakt z Nim rozluźnił się. Wystąpienie ministra Milczanowskiego w sejmie w sprawie premiera Józefa Oleksego nie było ze mną konsultowane, więc uznałem, że nie mam już wpływu na dalszy bieg wydarzeń. Minister podał się do dymisji po przegranych przez prezydenta Lecha Wałęsę wyborach prezydenckich, a ja – miesiąc później. Nasze relacje nigdy już nie wróciły do poprzednich.

Zapamiętałem Go jako wybitnego męża stanu, propaństwowca, człowieka ponadpartyjnego, osobę której wywiad wiele zawdzięczał, wyjątkowo spokojnego i niezależnego. Był to właściwy człowiek na właściwym miejscu i we właściwym czasie.

Henryk Jasik

Wspomnienie
o Andrzeju Milczanowskim

Jestem państwowcem – tak o sobie mówił. Słyszałem to wielokrotnie. Myślę, że inni również. Powtarzał to w różnych miejscach, do różnych osób i środowisk. Zawsze niezmiernie mocno to podkreślał.

Miałem to szczęście, że wspólnie odbyliśmy wiele podróży. Były to okazje, by rozmawiać o wszystkim: o historii, polityce, ale też o życiu i rodzinach. Usłyszałem od Andrzeja historię o tym, jak w czasie II wojny światowej jego matka niosła Go, kilkumiesięczne dziecko (urodził się w maju 1939 r.), na ramieniu, jednocześnie prowadząc za rączkę Jego starszą siostrę. Ojciec, prokurator w Równem, został aresztowany we wrześniu 1939 r. Wiele lat później Andrzej szukał informacji o nim. Wiedział, że zginął, ale nie wiedział gdzie i kiedy, więc starał się dojść do faktów. Udało się to dzięki polskiemu konsulowi w Moskwie, a Rosjanie, z szacunku do Andrzeja, też pomogli wyjaśnić okoliczności.

Starałem się zrozumieć słowa Andrzeja, co to znaczy być państwowcem. Dobrze pamiętam okres transformacji w Polsce. Andrzejowi powierzono zadanie przebudowy resortu spraw wewnętrznych. Jak mówił, uległ prośbom premiera Tadeusza Mazowieckiego i Krzysztofa Kozłowskiego, który został wiceministrem w resorcie. Należało dokonać wielu zmian, a jedną z najważniejszych było rozwiązanie struktur Służby Bezpieczeństwa. Ówczesny rząd stworzyła Unia Wolności. Opozycja parła do przeprowadzenia tzw. opcji zero, czyli zlikwidowania wszystkiego, co było związane z SB, zwolnienia wszystkich zatrudnionych funkcjonariuszy, utworzenia

nowych służb od podstaw. Powołano Urząd Ochrony Państwa. To były naprawdę nowe służby. Dobrze pamiętam, jak Andrzej na comiesięcznych odprawach szefów departamentów i biur w centrali oraz szefów delegatur z 16 województw podkreślał, że nowych i starych pracowników ocenia równo za lojalność, kompetencje i pracowitość. Nad wszystkim panował, a my byliśmy wobec niego lojalni. Dla nas organizował m.in.: spotkania w Magdalence ze Zbigniewem Brzezińskim, Janem Nowakiem-Jeziorańskim i innymi osobistościami. Byliśmy wobec takich postaci nieśmiali, ale mieliśmy swoje poglądy, byliśmy świadomi historii, zostaliśmy zaakceptowani i nie zawiedliśmy Polski.

Innym mogło się wydawać, że Andrzej to skromny prawnik ze Szczecina. Nie był światowcem, ale był dobrze znany służbom innych państw: brytyjskim (MI6, MI5), niemieckim (BND, BfV) i oczywiście amerykańskim (CIA, FBI). Dla Andrzeja otwierano siedziby tych służb i najbardziej wrażliwe w nich miejsca. Dla Niego robiono szczególny wyjątek, tak bardzo był ceniony i szanowany.

Polskie służby były niedofinansowane i źle wyposażone. Rudolf Seiters, szef urzędu kanclerskiego RFN, przekazał 120 mln marek na potrzeby polskiej Policji, Straży Granicznej i Straży Pożarnej. Andrzej został zaproszony przez niego na festiwal muzyki w Beyreuth. Był to wyraz szacunku i uznania za osobowość, mądrość i wizję dla Polski i Europy.

Już tylko hasłowo: była operacja w Iraku, dużo tekstów ukazało się o niej w mediach, powstały nawet książki. Kiedy przeprowadzenie akcji zależało od zgody Andrzeja, powiedział: życzę powodzenia, wywiadowi potrzebny jest sukces. Byłem wtedy sam w Jego gabinecie. Po powrocie do siebie przekazałem decyzję Szefa wszystkim, którzy byli zaangażowani w realizację operacji. Zobaczyłem ich radość. Życzenia Andrzeja spełniły się, a my nie zawiedliśmy.

Andrzej wiedział jak powinna wyglądać Polska. Był i jest dla mnie i wielu innych wzorem. Nie zawieźmy Andrzeja, nawet dzisiaj, mimo że czasy są trudne.



Źródło: prywatne zbiory Henryka Jasika.



Źródło: prywatne zbiory Henryka Jasika.

Andrzej Kapkowski

Minister na miarę czasów

Lata 1990–1995, w których Andrzej Milczanowski pełnił funkcję najpierw szefa Urzędu Ochrony Państwa, a następnie ministra spraw wewnętrznych, to okres transformacji ustrojowych. W obszarze bezpieczeństwa państwa trzeba było określić, jak wprowadzić służby specjalne w formułę państwa demokratycznego. Należało wypracować nową politykę kadrową, zasady naboru i szkolenia, wytypować aktualne zagrożenia i zawrzeć korzystne sojusze. Konieczne przy tym było zapewnienie bezpieczeństwa reformującemu się państwu, zwłaszcza wobec ryzyka, które stanowiła działalność rosyjskich służb wywiadowczych.

Do realizacji tych zadań był potrzebny człowiek niezwykle, wizjoner zdolny do przełamywania stereotypów i mający odwagę, by wkroczyć w trudne środowisko służb specjalnych. Ludzie służb to hermetyczna grupa, ale jednocześnie zdyscyplinowana, dyspozycyjna i świadoma swojej specyfiki, a co za tym idzie nieufna wobec szefów wywodzących się z zewnątrz.

Nie znam kulisów powołania Andrzeja Milczanowskiego na szefa UOP, ale zakładam, że znalezienie odpowiedniego kandydata nie było proste. Z perspektywy czasu uważam, że ten wybór był najlepszym z możliwych. Minister miał silną, niezwykle osobowość, myślał nieszablonowo, wskazywał rozwiązania i przełamywał trudności. Jako represjonowany działacz opozycji politycznej okresu PRL mógł postrzegać służby specjalne wyłącznie przez pryzmat uprzedzeń, wrogości i zagrożeń. Stało się jednak inaczej. Zobaczył służby z perspektywy nowych zadań, dostrzegał

złożoność ich uwarunkowań, zaszłości, a także to, co było warto w nich zachować.

Te niezwykle cechy zauważyłem u Ministra przy naszym pierwszym kontakcie, gdy przewodniczył On komisji weryfikującej kontrwywiadowczą kadrę Departamentu II Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jako naczelnik tzw. wydziału amerykańskiego uczestniczyłem w pracach komisji z upoważnienia ówczesnego dyrektora tego departamentu, płk. Andrzeja Sroki. Nie miałem prawa głosowania, natomiast minister Milczanowski często prosił mnie o charakteryzowanie weryfikowanych funkcjonariuszy w celu uzupełnienia danych zawartych w ich teczkach personalnych.

Podczas weryfikacji minister Milczanowski zaprezentował niezwykłą intuicję, kiedy często odmiennie od pozostałych członków komisji oceniał kandydatów. Kilkakrotnie zarządał nawet powtórne głosowania, które zmieniały wcześniejsze werdykty. Nie było w tym stronniczości. Minister dostrzegał niuanse, których nie widzieli inni i przyznaje, że miał rację w korektach, które wprowadzał. Wiedział swoje i nie ulegał sugestiom. Miał duży temperament polityczny, był człowiekiem walki, a nawet ryzyka, ale też pragmatykiem. Zawsze dynamiczny, wyrazisty, bez sztuczności i cienia asekurantwa. Postrzegałem Go jako gotowego do ponoszenia pełnej odpowiedzialności za swoje słowa i czyny. Wszystko robił z wielkim zaangażowaniem i umiał przekonywać do swoich racji.

W czasie naszej współpracy było wiele zdarzeń, które zależały od decyzji ministra Milczanowskiego i które powodowały ważne dla mnie skutki. Zdarzały się przy tym różnice zdań między nami. Wbrew sugestiom Ministra nie zrezygnowałem z wcześniej uzgodnionego oddelegowania mnie do pracy w Ambasadzie RP w Londynie na stanowisku II sekretarza do spraw bezpieczeństwa. Andrzej Milczanowski uważał, że bardziej bym się przydał w kraju, ale wyjazdu nie zablokował. Nie skorzystałem też z Jego propozycji powrotu do centrali UOP i objęcia wyższego stanowiska.

Ostatecznie, po pewnym incydencie, zostałem uznany przez brytyjskie władze za persona non grata i na początku 1992 r. opuściłem Londyn. Obawiałem się, że mogę być zwolniony ze służby. Minister przyjął jednak moje złożone w raporcie wyjaśnienia za wiarygodne. Zanim opuściłem Anglię, dostałem wiadomość, że w kraju czeka na mnie stanowisko zastępcy naczelnika w nowo utworzonym tzw. wydziale wschodnim. Do dzisiaj jestem za to niezmiernie wdzięczny ministrowi Milczanowskiemu, tym bardziej, że pozostawaliśmy ze sobą w relacjach wyłącznie służbowych i po tej sytuacji mógł nabrać do mnie niechęci. Nie był małostkowy. Źródłem Jego wyrozumiałości było, jak sądzę, zaufanie do doświadczonych, zweryfikowanych funkcjonariuszy i przekonanie o ich dużej użyteczności w służbie.

Wydaje mi się, że Andrzej Milczanowski szczególną sympatią darzył Zarząd Wywiadu, zwłaszcza po ich udanej operacji wyprawienia z Iraku oficerów CIA.

Po odejściu ze służby widywaliśmy się z Ministrem podczas konferencji na temat bezpieczeństwa organizowanych zarówno w Ośrodku Szkolenia i Edukacji Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Emowie, jak i w innych miejscach. Nie ukrywam, że w czasie tych spotkań okazało się, że mamy odmienne stanowiska w tzw. sprawie Oleksego. W tej kwestii było znamienne, że minister Milczanowski odczytał wobec dużego audytorium decyzję sądu, w której stwierdzono, że mógł On zgodnie ze stanem posiadanej wówczas wiedzy uczynić to, co uczynił. Temat ten nie spowodował między nami animozji. Nie pamiętam kiedy i w jakich okolicznościach zaczęliśmy mówić sobie po imieniu, ale odbieram to jako zaszczyt.

Nową płaszczyzną kontaktu z Andrzejem Milczanowskim były chyba dwukrotne osobiste spotkania z emerytowanymi funkcjonariuszami, których dotyczyły skutki tzw. ustawy dezubekizacyjnej. Minister potwierdził wtedy swoje poparcie dla starań o odzyskanie

emerytur i negatywny stosunek do samej ustawy. Takie stanowisko wielokrotnie prezentował publicznie, czym zdobywał sympatię i uznanie środowiska mundurowych emerytów.

Widywaliśmy się również podczas posiedzeń Fundacji Pomocy Rodzinom Funkcjonariuszy i Pracowników UOP i ABW, która wspiera funkcjonariuszy i emerytów UOP oraz ABW w sprawach zdrowotno-losowych. Minister wielokrotnie przewodniczył tym spotkaniom i aż do załamania zdrowia aktywnie w nich uczestniczył. Traktowaliśmy Go jak szefa szefów – z sympatią i szacunkiem, a On również odnosił się do nas z życzliwością.

Od czasu do czasu, a zawsze z okazji imienin i świąt, dzwoniłem z życzeniami do Pana Ministra. Bywało, że rozmawialiśmy na temat aktualnych wydarzeń z zakresu bezpieczeństwa państwa i zawsze byłem pod wrażeniem głębi i trafności Jego opinii.

Andrzej Milczanowski był bez reszty państwowcem. W Jego działaniach i nieraz trudnych decyzjach nie było śladu prywatnych ambicji i motywacji. W imię państwowości był gotów narażać się różnym środowiskom politycznym i autorytetom. Był człowiekiem na miarę wyzwań transformacyjnych. Potrafił zintegrować nowe służby i zapewnić im pierwsze znaczące sukcesy. Stworzył podwaliny pod dalszy ich rozwój.

Był ze wszech miar wybitnym człowiekiem i trwale zapisał się w historii polskich służb specjalnych.

Grzegorz Kapla

Pomorskie reminiscencje

Wszedłem kiedyś do redakcji tygodnika „Nowy Wyspiarz” na Placu Słowiańskim 14 w Świnoujściu, a On po prostu tam siedział w chmurze dymu, w starym wygniecionym fotelu i palił papierosa. Popielniczka była pełna. Staszek Możejko niósł kawę w kuflach po piwie. Nie chciało mu się ciągle wstawać, żeby parzyć nową, więc piliśmy w tych kuflach. *Czyli co, będziesz pisał?* – postawił kufel obok popielniczki. *No bezwzględnie* – powiedział Andrzej Milczanowski głosem, który znałem z telewizji.

Tym samym tonem oskarżył urzędującego premiera rządu o kontakty z rosyjskimi szpiegami Władimirem Ałganowem i Grigorijem Jakimiszynem. Nie mieliśmy wątpliwości, że nie kłamał. Milczanowski zawsze dotrzymywał słowa.

Tak Go zapamiętałem. A może to, co szczególnie pamiętam, to jednak zdjęcie, które mieliśmy z Nim na okładce? Jest na nim ubrany w niebieską koszulę i nie ma krawata. W każdym razie wtedy został felietonistą tygodnika „Nowy Wyspiarz”, regionalnego pisma społeczno-politycznego ukazującego się na terenie wysp Uznam i Wolin. Byłem wówczas redaktorem naczelnym z niewielkim doświadczeniem, które złapałem w gazecie na Pomorzu. Wydawcą był Stanisław Możejko. Przyjaźnili się. Jak to oni mówili, knuli ze sobą od lat.

To były dziwne czasy. Świat, który wydawał się znajomy, potrafił pruć się i pękać w najmniej oczekiwanych miejscach. Jednego dnia człowiek kończył studia, drugiego przechodził na ty z Jackiem Kuroniem, a trzeciego siadał naprzeciwko ministra Milczanowskiego i rozmawiał o warunkach współpracy. Umówiliśmy się,

że raz w tygodniu, najpóźniej do poniedziałku, Milczanowski będzie przysyłał swój maszynopis faksem na adres redakcji. To były już czasy internetu, ale wołał faksem. Nie rozmawialiśmy w ogóle o pieniądzach. Tylko o tym, żeby nie było tam żadnych literówek.

Myślałem, że będzie pisał o polityce. Każdy dziennikarz w tamtym czasie marzyłby o tym, żeby opublikować w sprawie Olina coś, czego inni jeszcze nie wiedzieli, nie odkryli, o co nie zapytali. Naturalnie pytałem o Olina, ale Milczanowski odpowiadał, że powiedział w tej sprawie już wszystko, co miał do powiedzenia. I życzył sobie, żeby to szanować. Czy powiedział Możejce więcej? Byliśmy w redakcji pewni, że tak. Ale między nimi wszystko było jak kamień w wodę.

Do „Nowego Wyspiarza” Milczanowski pisał więc o muzyce jazzowej i o swojej kolekcji płyt. Znał się na tym. Znał się pewnie lepiej niż niejeden radiowy wyjadacz. Ale za każdym razem, kiedy jego maszynopis wykręcał się z faksu, czytaliśmy go przede wszystkim po to, żeby gdzieś między wierszami odkryć jakiś tajny znak, szyfr, cokolwiek. Ale niczego takiego nie odszukaliśmy.

Kilka miesięcy później najważniejszym politycznym tematem w Świnoujściu stała się budowa tunelu pod Świną. Miało to siłę symbolicznego połączenia miasta na wyspie Uznam z Polską. Nie udało się, czas jeszcze nie był po temu, ale oddolne zaangażowanie miało swoje znaczenie.

Szukaliśmy sojuszników dla tej inicjatywy pośród przyjaciół. Andrzej Milczanowski zaangażował się bez reszty, stawiając na tę kartę swoją pozycję i zeszytik z telefonami. Potrzebni byli ludzie o nieposzlakowanej opinii i autorytecie, gotowi wesprzeć obywatelską inicjatywę, która nie była po myśli ówczesnego rządu. Władze wołały utrzymywać przeprawę promową. Nie wiem, ile Milczanowski podejmował prób zwerbowania ludzi do Rady Naukowej przy Społecznym Komitecie Budowy Tunelu, żeby ta grupa naukowców zgodziła się przyjąć sformalizowaną strukturę, ale się udało. Kiedy

kilkudziesięciu profesorów różnych dziedzin nauki zjechało do Świnoujścia, to taka demonstracja nie mogła już ujść uwadze mediów i rządzących.

W jednym z numerów „Nowego Wyspiarza” ukazał się wtedy wywiad z Milczanowskim, a On sam zgodził się zapozować do okładkowego zdjęcia. Zachował mi się tylko fragment dotyczący stanu wojennego. Mam go z uwagi na to, że był mi potrzebny w jakimś artykule:

Stasiek [Możejko] założył pierwsze dwa komitety [zakładowe „Solidarności”], wnioski do Sądu Wojewódzkiego poszły ze Świnoujścia. To była niezwykle cenna inicjatywa, wykorzystata możliwość walki o rejestrację zapisaną w międzynarodowych konwencjach ratyfikowanych przez Polskę – prawo do wolnych związków zawodowych, a tym samym prawo do zrzeszania się w Związku Zawodowym „Solidarność”. Żeby taki wniosek skierować do sądu, trzeba było zebrać dziesięciu członków założycieli. W ten sposób powstawała grupa. Jeśli w Szczecinie zaangażowało się w to dziesięć, potem piętnaście zakładów pracy, to to była już konkretna liczba ludzi zaangażowanych w czynny sposób na rzecz reaktywowania „Solidarności”. Była to inicjatywa nie do przecenienia w skali Polski. Jest wielką zasługą Staszka, że wymyślił to, że uwierzył, że uda się „Solidarność” zarejestrować i że zrobił pierwszy krok w tym kierunku. Cały kraj poszedł za nim. Najpierw Pomorze Zachodnie, potem Gdańsk, Warszawa, Małopolska, Śląsk.

Milczanowski nie pamiętał okoliczności tego pierwszego spotkania, ale wspominał inne, ze stycznia 1987 r., kiedy siedzieli w Świnoujściu nad planami rejestracji „Solidarności” i herbatą z rokitnika. Po dwóch pierwszych komitetach ze Świnoujścia kolejne miały być szczecińskie. Milczanowski ocenił, że w czasach, kiedy Urban twierdził, że nie ma już „Solidarności”, tylko paru chuliganów rzucających kamieniami na ulicach, to był znakomity pomysł.

Kiedy się okazało, że Możejko dobrze radzi sobie z przekonywaniem ludzi do podpisywania wniosków, Milczanowski postanowił,

że Możejko zajmie się tym zawodowo, a on sam zorganizuje mu kwatery (Możejko był wtedy poszukiwany) i pieniądze. Spora część kwot pochodziła z osobistych funduszy Milczanowskiego. Inicjatywa jednak upadła, bo Lech Wałęsa uznał, że takie komitety „Solidarności” spowodują osłabienie scentralizowanej struktury związku, a w tamtym czasie on sam wolał mieć nad nim kontrolę. Z rozmów między Wałęsą, Milczanowskim i Możejką zachowały się nagrania. Dwaj ostatni wracali z Gdańska z poczuciem klęski, ale tych nagrań, które stawiały Wałęsę w nienajlepszym świetle, nigdy nie ujawnili.

Po przegranych przez Lecha Wałęsę wyborach prezydenckich w 1995 r., Milczanowski z Możejką zorganizowali akcję składania protestów wyborczych. We wniosku o odrzucenie wyniku wyborów argumentem było to, że zatajenie przez kontrkandydata Wałęsy Aleksandra Kwaśniewskiego braku tytułu magistra miało wpływ na wyborczy rezultat. Wniosek powstał w pracowni architektonicznej prowadzonej przez młodych inżynierów, z którymi byliśmy zaprzyjaźnieni. Wymyślali treść wniosku, a ja, najmłodszy w tym towarzystwie, go spisywałem. Całą noc byliśmy wtedy na łączach z Andrzejem Milczanowskim. Kiedy tekst był gotowy, Milczanowski rozkolportował go po Polsce. Jeszcze tej nocy Robert Rachuta, późniejszy wiceprezydent Świnoujścia, jechał do Warszawy z pierwszą paczką podpisanych wniosków. Następnego dnia po południu „Teleexpress” pokazał długą kolejkę ludzi pod siedzibą Centralnej Komisji Wyborczej. W sumie tych wniosków wpłynęło ponad 600 tysięcy. Wszystkie zostały odrzucone.

Gdy Możejko zachorował, czy raczej kiedy dały znać o sobie choroby układu krążenia, których nabawił się w czasie aresztowań, Andrzej Milczanowski postanowił załatwić mu dodatek do renty, bo przecież Możejko nie mógł mieć emerytury. W konspiracji człowiek nie wypracuje sobie lat składkowych. Na wniosku były potrzebne podpisy dwóch osób, więc Milczanowski pojechał do

Longina Komołowskiego. Czas mijał, nic się nie działo. Kiedy Komołowski przyznał, że gdzieś zagubił papiery, Milczanowski wsiadł do pociągu i pojechał do Gdańska. Uzyskał podpisy Lecha Wałęsy i Donalda Tuska. Na cmentarzu, w czasie pogrzebu, to Milczanowski podtrzymywał pod ramię Halinę, wdowę po Możejce. Wtedy mieliśmy z Ministrem ostatnie spotkanie. Radio Szczecin zaprosiło nas do wspomnieniowej, nocnej audycji. Trzecim uczestnikiem był Kornel Morawiecki. Każdy z nas przyjaźnił się ze zmarłym, choć w zupełnie innych okresach jego życia. To był dla mnie, wówczas już nie reportera, ale publicysty w lifestyle'owych magazynach, niebywały zaszczyt. Ale to nie było osobiste spotkanie. Oni byli w Szczecinie, a ja na łączach w studiu radiowej Trójki.

Mam w pamięci jeszcze jedną rozmowę, w Wiśłce. Andrzej Milczanowski jeździł tam nad morze. Miał swoje ulubione miejsce w lesie. Pojechaliliśmy Go odwiedzić z Wojtkiem Ryfczyńskim. Jesienią, poza sezonem to zupełnie pusta miejscowość. Poszliśmy na plażę, nad morzem sztorm, piasek ciężki od wilgoci, mżawka. Rozmawialiśmy o zasadach w polityce, zresztą nie pamiętam o czym dokładnie. W końcu zeszło na płk. Ryszarda Kuklińskiego. Wtedy już nie żyli jego synowie. Milczanowski powiedział, że jemu Rosja też nie wybaczy sprawy Olina. Ale że jest przygotowany. Pokazał nam małą berettę. Powiedział, że jest skuteczna tylko na krótki dystans, ale daje mu trochę otuchy.

Andrzej Kosnarewicz

Spotkanie
z Andrzejem Milczanowskim

Spotkanie jest jedną z istotniejszych kategorii współczesnej refleksji społecznej (od czasów Martina Bubera, Józefa Tischnera czy Andrzeja Nowickiego). Spotkania towarzyszą ludziom od zawsze i to one decydują o tym, kim się stajemy, czego chcemy i do czego zmierzamy. O wielu z nich zapominamy prawie natychmiast, bo są przypadkowe, nieistotne i powierzchowne. Inne od razu znajdują poczesne miejsce w naszych życiorysach i odciskają na nich trwałe piętno.

W 1986 r. wspólnie z moim znajomym, studentem filozofii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu Markiem Niewiadomskim, postanowiliśmy organizować cykliczne spotkania samokształceniowe, na które zapraszaliśmy wszystkich chętnych. Ze względu na ówczesny reżim mogliśmy spotykać się tylko w prywatnych mieszkaniach. Jednym z pierwszych tego typu zgromadzeń był wykład prof. Marka Ziółkowskiego na temat świadomości wielkoprzemysłowej klasy robotniczej w pierwszej połowie lat 80. XX w. W tych badaniach miałem okazję brać udział zarówno na etapie zbierania danych, jak i opracowywania wyników¹. Ponieważ te badania odnosiły się w dużej mierze do przekonań, wartości i postaw jednostek w stosunku do systemu społecznego, książka prof. Ziółkowskiego mogła ukazać się dopiero w 1990 r.

Chciałbym opowiedzieć jednak o innym spotkaniu, które miało miejsce w moim mieszkaniu w Poznaniu w piątkowy

¹ *Robotnicy 84–85. Świadomość pracowników czterech wielkich zakładów przemysłowych*, M. Ziółkowski (red.), Wrocław 1990.

wieczór 5 grudnia 1986 r. Zajmowałem mieszkanie na parterze, które miało okna zarówno od ulicy, jak i od podwórza. W gronie 25 osób oczekiwaliśmy gościa ze Szczecina – Andrzeja Milczanowskiego, który miał mówić o wolnych związkach zawodowych i pluralizmie związkowym. Zaproszonego przyprowadził z pobliskiego dworca PKP Jerzy Krężlewski (członek pierwszego konspiracyjnego Zarządu Regionu Wielkopolska NSZZ „Solidarność”, aresztowany od marca do czerwca 1983 r. w związku ze sprawą Janusza Pałubickiego).

Spotkanie to nie trwało nawet pół godziny, gdy usłyszeliśmy dzwonek i pukanie do drzwi wejściowych. Tak tę sytuację pamięta i opisuje Jerzy Krężlewski: *Gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi i ktoś powiedział „Otworzyć, swój”, to gospodarz mieszkania Andrzeja Kosnarewicz poszedł je otworzyć. Jak usłyszałem „swój”, to od razu zacząłem za nim biec, by nie otwierał. Ale było za późno. Gdy zobaczyłem esbeków w drzwiach, uciekłem do sąsiedniego pokoju i wyskoczyłem przez okno. Wszyscy byli przekonani, że ja wsypałem całą ekipę. Dopiero Janusz Pałubicki po latach wszystko odkręcił².*

Po wkroczeniu do mieszkania dużej grupy esbeków, milicjantów oraz przedstawiciela prokuratury zrobiło się takie zamieszanie, że Jerzy mógł spokojnie opuścić mieszkanie przez okno. Wkroczenie funkcjonariuszy SB z bronią w rękach nie zrobiło na Andrzeju Milczanowskim żadnego wrażenia. Był niezwykle spokojny i opanowany. Postawa ta dodawała nam otuchy i odwagi. W materiałach SB zachowały się dwa zrobione w moim mieszkaniu zdjęcia Milczanowskiego.

² T. Cylka, *Rozegraliśmy komunę. Rozmowa z Jerzym Krężlewskim*, Wyborcza.pl, 7.06.2019 r., <https://classic.wyborcza.pl/archiwumGW/9042297/Rozegralismy-komune> [dostęp: 6.06.2025].



Andrzej Milczanowski w mieszkaniu Andrzeja Kosna-
rewicza. 5 grudnia 1986 r.

Źródło: Archiwum Państwowe w Poznaniu.



Andrzej Milczanowski w mieszkaniu Andrzeja Kosna-
rewicza. 5 grudnia 1986 r.

Źródło: Archiwum Państwowe w Poznaniu.

W Biuletynie Informacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej w katalogu osób „rozpracowywanych” figurują dane:

Imiona: Andrzej Stanisław

Nazwisko: Milczanowski

Miejsce urodzenia: RÓWNE

Data urodzenia: 26-05-1939

Imię ojca: Stanisław

Imię matki: Wilhelmina³

Dalej widnieje treść zapisów ewidencyjnych. Wśród kilkunastu pozycji w opisie materiałów o sygnaturze IPN Po 06/286 t. 8, 55, 56 (366/2/45, 77, 78) można przeczytać: *Akta sprawy o wykroczenie Andrzej Milczanowski w dniu 05.12.1986 r. w Poznaniu uczestniczył w zgromadzeniu (odbywającym się w prywatnym mieszkaniu), na które nie uzyskano wymaganego zezwolenia (...) wygłaszając na zgromadzeniu wykład dotyczący pluralizmu związkowego w Polsce. Kolegium ds. Wykroczeń w dn. 19.01.1987 ukarało A. Milczanowskiego karą grzywny⁴.*

Najście funkcjonariuszy SB mnie z kolei tak rozdrażniło, że przez cały czas przeszukania i dokumentowania fotograficznego wdawałem się z nimi w słowne utarczki, nie przebierając zresztą w słowach. Mocno irytowało mnie – czemu dawałem wyraz w dosadnych komentarzach – otwieranie przez esbeków słoików z domowymi dżemami, które w ich mniemaniu mogły okazać się farbą drukarską. Po latach okazało się, że właśnie ta cecha mojego zachowania została przez Milczanowskiego dostrzeżona. Tej nocy zostaliśmy wszyscy przewiezieni do siedziby SB przy ul. Kochanowskiego w Poznaniu i tam byliśmy przesłuchiwani. Po trwających do

³ Biuletyn Informacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej. Dane osoby z katalogu osób „rozpracowywanych”, <https://katalog.bip.ipn.gov.pl/informacje/91286> [dostęp: 6.06.2025].

⁴ Wyróżnienia w tekście pochodzą od autora – dop. red.

się też posiedzenie kolegium do spraw wykroczeń w Poznaniu, na którym zasądzono nam wysokie grzywny. W moim przypadku kara wynosiła czterokrotność mojego miesięcznego uposażenia jako asystenta w Instytucie Psychologii UAM. W posiedzeniu kolegium brał udział przedstawiciel jednostki wojskowej, do której zostałem powołany na przeszkolenie. Pamiętam, że moje próby obrony, że spotkanie w moim mieszkaniu miało charakter towarzyski, zostały zbyte przez przewodniczącą składu orzekającego pytaniem, czy były karty i alkohol, bo jeśli nie, to spotkanie nie miało rzeczoności charakteru. W lutym 1987 r. zostałem pozbawiony tytułu podchorążego ze względu na *ustratę wymaganych wartości politycznych lub moralnych*. Rozkaz nr 41/87 w tej sprawie wydał Dowódca Śląskiego Okręgu Wojskowego 18 lutego 1987 r. na podstawie paragrafu 62 pkt 2 ust. 2 Zarządzenia Ministra Obrony Narodowej nr 58/MON. W związku z tym zostałem skierowany do odbycia służby zasadniczej do jednostki obrony terytorialnej kraju w Bielsku Białej. W tamtym okresie wojska OTK pełniły inną funkcję niż dzisiaj – były zakamuflowaną formą pracy przymusowej. Moja kompania składała „maluchy” w FSM i meliorowała okolice Bielska Białej.

Z Andrzejem Milczanowskim spotkałem się ponownie dopiero w sierpniu lub wrześniu 1990 r., kiedy został szefem Urzędu Ochrony Państwa. Zaprosił mnie wówczas na rozmowę do Warszawy i zaproponował, abym został jego asystentem. Wcześniej miałem jednak odbyć szkolenie oficerskie. Długo zastanawiałem się na tą propozycję i w końcu, kiedy się wreszcie zdecydowałem i trafiłem ostatecznie do szkoły oficerskiej, Andrzej Milczanowski został odwołany ze stanowiska szefa UOP. Tak się jednak złożyło, że w trakcie składania przeze mnie egzaminów oficerskich, Milczanowski wrócił do UOP, ale wkrótce został ministrem spraw wewnętrznych i w konsekwencji ja nie zostałem jego asystentem.

Miałem natomiast przyjemność pracować w tym charakterze z prof. Jerzym Koniecznym, który został wówczas szefem Urzędu.

Kiedy w grudniu 1986 r. spotkałem i poznałem Andrzeja Milczanowskiego, nie mogłem wiedzieć, ani nawet przypuszczać, że to spotkanie stanie się punktem zwrotnym w mojej karierze zawodowej i w ogóle w moim życiu.

Dariusz Łuczak

Fundament etosu służby

Moja znajomość z Andrzejem Milczanowskim to nie tak odległy czas. W 2000 r. w głównej siedzibie Urzędu Ochrony Państwa miały miejsce uroczystości z okazji 10-lecia tej służby, które kończyły się wieczornym spotkaniem w Magdalence. Sądzę, że tego dnia mogłem zostać przedstawiony Majstrowi przez kogoś z kierownictwa Urzędu bądź, co bardziej prawdopodobne, przedstawiłem się sam. Pełniłem wówczas funkcję zastępcy szefa Delegatury UOP w Białymstoku.

W tamtym czasie minister Milczanowski był mi dobrze znaną postacią. Przez kilka miesięcy zastępca pierwszego Szefa UOP Krzysztofa Kozłowskiego, a następnie przez kilka lat dwukrotnie (jedyne taki przypadek w dotychczasowej historii naszej służby) – Szef. Ponadto legenda bliskiej mi „Solidarności”. I od tego chciałbym zacząć te wspomnienia.

Nasze życiowe drogi skrzyżowały się na przełomie marca i kwietnia 1981 r., w połowie karnawału „Solidarności”, który 13 grudnia 1981 r. zakończył stan wojenny.

Dnia 19 marca 1981 r. miały miejsce tzw. wydarzenia bydgoskie, które spowodowały poważny kryzys w relacjach władzy z „Solidarnością”. Tego dnia milicja siłą wyprowadziła z sali obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej związkową delegację. W trakcie tych bardzo agresywnych działań milicjanci (a może przebrani w milicyjne mundury funkcjonariusze SB) pobili trzech związkowców, m.in. przewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Bydgoszczy Jana Rulewskiego.

Ta brutalna ingerencja w trakcie oficjalnych, uzgodnionych wcześniej rozmów przedstawicieli związków z lokalnym aparatem partyjnym spotkała się z ostrą reakcją większości społeczeństwa. Protesty obiegły całą Polskę, a krajowe władze „Solidarności” odwołały wszystkie rozmowy z rządzącymi i wprowadziły stan gotowości strajkowej. Dnia 31 marca w Gdańsku zebrała się Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność”, która w czasie dwudniowych obrad miała zdecydować o ogłoszeniu strajku generalnego.

Andrzej Milczanowski był wówczas aktywnym członkiem „Solidarności” na Pomorzu Zachodnim. Pełnił funkcję przewodniczącego zespołu radców prawnych przy Międzyzakładowej Komisji Robotniczej, a, od lipca 1981 r. został doradcą Zarządu Regionu „Solidarność” Pomorze Zachodnie. Zakładam, że mógł brać udział w tym zwołanym w trybie pilnym posiedzeniu krajowych władz „Solidarności”.

W tym czasie byłem studentem filologii polskiej filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku, a także członkiem Niezależnego Zrzeszenia Studentów, które 24 marca 1981 r. wsparło akcję protestacyjną „Solidarności” i przeprowadziło czterogodzinny strajk ostrzegawczy na uczelniach. Miało to (...) *przede wszystkim wydźwięk moralny, dokumentujący sojusz inteligencji i robotników*, na co zwrócił uwagę były szef ABW Krzysztof Bondaryk w monografii na temat białostockiego NZS¹.

Być może ze względu na to zaangażowanie NZS ówczesny przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Białymstoku Feliks Gołębiwski przed wyjazdem do Gdańska na posiedzenie KKP NSZZ „Solidarność” poprosił o asystę studentów. Byłem jednym z nich. Wyjechaliśmy, tj. zaufany kierowca, dwóch studentów i przewodniczący Gołębiwski, późnym wieczorem 30 marca polonezem oddanym nam do dyspozycji

¹ K. Bondaryk, *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Białymstoku w latach 1980–1981*, Białystok 1999 – przyp. red.

z białostockiego Polmozbytu. Kluczyliśmy podlaskimi, a dalej mazursko-warmińskimi i pomorskimi drogami. Ciemna noc, wąskie, śliskie drogi. I za każdym zakrętem narastająca obawa niemiłej niespodzianki. W Gdańsku spędziliśmy z kolegą z NZS dwa dni w kuluarach bardzo ostrych rozmów członków KKP „Solidarność”. Zakładam, że tam po raz pierwszy mogłem spotkać Andrzeja Milczanowskiego.

W grudniu 1988 r. Andrzej Milczanowski został członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym „Solidarności” Lechu Wałęsie. W tamtym czasie tworzone także regionalne komitety obywatelskie. Byłem członkiem Komitetu Obywatelskiego Ziemi Białostockiej. W początkowym okresie działalności lokalne KO często spotykały się z centralą, gdyż zbliżały się tzw. wybory kontraktowe. To właśnie komitety obywatelskie prowadziły kampanię wyborczą po stronie opozycyjnej. W tamtym czasie mogliśmy z Andrzejem Milczanowskim zetknąć się kolejny raz.

W kwietniu 2012 r. zostałem zastępcą Szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W połowie stycznia 2013 r. premier powierzył mi obowiązki, a następnie stanowisko Szefa ABW. Od tego czasu nasza znajomość z ministrem Milczanowskim nabrała realnego, a z racji spotkań Rady Fundacji Pomocy Rodzinom Funkcjonariuszy i Pracowników UOP i ABW także osobistego wymiaru. Kilkakrotnie wracaliśmy w rozmowach do czasów pierwszej „Solidarności”. Interesowały Go relacje mniejszości narodowych mieszkających na terenie wschodniego Podlasia z lokalną „Solidarnością”. Znałem temat, bo na przełomie lat 80. i 90. XX w. byłem przewodniczącym Tere nowej Komisji „Solidarności” w Hajnówce, którą Andrzej nazywał miasteczkiem na współczesnych Kresach. Z aprobatą wsłuchiwał się w nieliczne pozytywne przykłady wzajemnego wsparcia i zrozumienia. Pochodził z Równego, miasta położonego w obecnej zachodniej Ukrainie. Po wojnie rodzina Milczanowskich z kilkuletnim Andrzejem, już bez ojca Stanisława zamordowanego przez funkcjonariuszy

NKWD w 1940 r. w Katyniu, przeniosła się na Pomorze Zachodnie. Jednak część ducha Andrzeja pozostała na Wschodzie.

Podczas jednego z ostatnich z Nim spotkań w Warszawie, ofiarował mi cenną pamiątkę. Był to ryngraf² z Matką Boską Ostrobramską zapakowany w niewielkie ręcznie haftowane etui, który otrzymał od oficera Armii Krajowej, podobnie jak rodzina Milczanowskich przybysza z przedwojennej wschodniej części Polski. Przekazując mi ten upominek, Andrzej powiedział, że z grona byłych szefów służb mieszkam najbliżej Wilna i być może któregoś dnia nadarzy się okazja, bym odwiedził z tą pamiątką Ostrą Bramę. Okazja była. W 2021 r. ze znajomymi byliśmy na Wileńszczyźnie.



Ryngraf z Matką Boską Ostrobramską, upominek otrzymany od Andrzeja Milczanowskiego.

Źródło: prywatne zbiory Dariusza Łuczaka.

² Wypukła blacha żelazna, mosiężna, miedziana lub srebrna, głównie w formie półksiężyca albo w kształcie tarczy, z wrytym lub malowanym obrazem o tematyce religijnej, najczęściej maryjnej. Na polskich ryngrafach spotyka się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej lub Ostrobramskiej. W okresie międzywojennym ryngrafy z obrazem Matki Boskiej były wręczane nowo mianowanym oficerom podczas promocji czy też wyższym oficerom przez dowództwo pułków bądź dowódcom pułków w podziękowaniu za dowodzenie przez korpus oficerski. Ryngrafy z wizerunkiem obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej lub Ostrobramskiej nosili żołnierze AK, NSZ i WiN.

Oprawiony przeze mnie ryngraf z odlanym w mosiądzu obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej znajduje się w naszym rodzinnym domu w otulinie Puszczy Białowieskiej. Andrzej nie powiedział od kogo, kiedy, w jakich okolicznościach go otrzymał. Domyślam się, że ofiarodawcą mógł być oficer AK, którego losy, jak wielu innych, przeniosły z Wileńszczyzny na Pomorze. Takie historie najpełniej opisuje anons, który zachęcał do udziału w panelu pt. „Szczecińskie losy byłych żołnierzy AK” zorganizowanym w lutym 2022 r. przez szczeciński oddział Instytutu Pamięci Narodowej:

Przyjechali z różnych stron i z różnymi doświadczeniami. Byli wśród nich oficerowie i szeregowcy, dowódcy i gońcy, sanitariuszki, łączniczki, powstańcy i żołnierze z niemal wszystkich okręgów Armii Krajowej. Młodość ułożyła im wojna. Niektórzy wyszli z łagrów i obozów internowania; inni – przyjechali w repatriacyjnych wagonach, z armią gen. Berlinga, lub po prostu – w poszukiwaniu nowego miejsca do życia. Różny był ich stosunek do powojennej rzeczywistości i różne plany na przyszłość, ale dla każdego to właśnie Szczecin stał się – na krócej lub dłużej – nowym domem³.

Tak, jak i dla rodziny Andrzeja Milczanowskiego.

Ze względu na pogarszający się stan zdrowia Andrzeja nasze kontakty od 2020 r. ograniczyły się do rozmów telefonicznych, czasami korespondencji mailowej. Przesyłałem mu swoje teksty dotyczące m.in. okresu wojny polsko-bolszewickiej i okupacji sowieckiej po 17 września 1939 r. na terenie wschodniego Podlasia. Po lekturze dopytywał o szczegóły, zwłaszcza jeśli miały związek z Wileńszczyzną bądź Kresami. Był też dobrym duchem lokalnej inicjatywy upamiętnienia w mojej rodzinnej Hajnówce Józefa Piłsudskiego.

³ *Przystanek Historia – Szczecińskie losy byłych żołnierzy AK – Szczecin, 10 lutego 2022*, Instytut Pamięci Narodowej, <https://szczecin.ipn.gov.pl/pl9/aktualnosci/158831,Przystanek-Historia-Szczecińskie-losy-bylych-zolnierzy-AK-Szczecin-10-lutego-202.html> [dostęp: 9.06.2025] – przyp. red.

Pomnik Marszałka stanął w centralnej części miasta w listopadzie 2023 r.

Andrzej wielokrotnie dopytywał mnie o ocenę sytuacji na granicy z Białorusią po 2021 r.

Kilka dni po wybuchu wojny w Ukrainie przyjęliśmy do siebie dwie rodziny: matki z czwórką dzieci. Jedna z rodzin pochodziła z Tarnopola, odległego o około 150 km od bliskiego Andrzejowi Równego, obecnie to zachodnia Ukraina, kiedyś – Kresy. Wówczas nasze rozmowy z Andrzejem nabrały innego, bardziej wspomnieniowego z Jego strony wymiaru. I wtedy zauważyłem, że powoli godzi się na to, co z czasem było nieuniknione.

Odszedł 22 lipca 2024 r.

Kim był dla naszego pokolenia? Nie będę odkrywcy. Człowiek prawy, państwowiec, bardzo honorowy. Doświadczyli tego zwłaszcza ci, za którymi stanął murem, czyli pozytywnie zweryfikowani po 1990 r. funkcjonariusze polskiego wywiadu i kontrwywiadu, którzy najęli się do służby w nowo utworzonych strukturach państwa polskiego, a w 2017 r. decyzją ówczesnej władzy stracili nabyte uprawnienia emerytalne.

Osobowość ministra Andrzeja Milczanowskiego jest dla mnie, jak i dla wielu związanych ze służbami specjalnymi, fundamentem do budowy etosu służb w demokratycznym państwie prawnym.

Piotr Niemczyk

Człowiek z brązu

Andrzej Milczanowski był człowiekiem bardzo skromnym. Zupełnie nie był zainteresowany splendorem towarzyszącym pełnieniu najwyższych funkcji państwowych. Unikał bankietów i przyjęć, na których równorzędni mu politycy i urzędnicy państwowi lubili obnosić się ze swoim znaczeniem. Tym, na czym Mu zależało, kiedy kierował Urzędem Ochrony Państwa lub Ministerstwem Spraw Wewnętrznych była sprawczość, a nie atrybuty przypisane do stanowiska.

Podajrzewam, że taki był zawsze. Kiedy poznałem Go w podziemiu solidarnościowym pod koniec lat 80. XX w., na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się spośród niewielkiej liczby osób wspierających strajkujących robotników. Dopiero kiedy dochodziło do podejmowania decyzji, widać było jak ogromny ma autorytet. Nie aspirował do pozycji lidera. Pomimo że wśród działaczy szczecińskiego podziemia miał najdłuższy staż opozycyjny, organizacyjny i co może nawet ważniejsze – więzienny, uważał, że w ruchu robotniczym przywódcą powinien być robotnik. Edward Radziejewicz, którego bardzo lojalnie i solidarnie wspierał, był świetnym przewodniczącym regionu w najtrudniejszych czasach strajków, które doprowadziły do Okrągłego Stołu.

Nikt, kto przyglądał się z bliska pracy Zarządu Regionu „Solidarność” Pomorza Zachodniego, zarówno tego nielegalnego, który spotykał się w prywatnych mieszkaniach i podziemiach kościoła jezuitów przy ul. Pocztowej w Szczecinie, jak i tego jawnego, który zajmował pomieszczenia Urzędu Wojewódzkiego przylegające

do budynku Miejskiej Rady Narodowej, nie miał wątpliwości, że najważniejszym strategiem jest pełniący funkcję sekretarza Zarządu Regionu Andrzej Milczanowski.

To właśnie On wywrócił moje życie do góry nogami. Kiedy w 1988 r. przyjechałem do Szczecina jako anarchizujący przeciwnik obowiązkowej służby wojskowej i przedstawiciel Serwisu Informacyjnego „Solidarności”, bardzo szybko powierzył mi kierowanie, pod nadzorem Jerzego Zimowskiego, pionem informacyjnym najpierw podziemnego, a później legalnego Zarządu Regionu „Solidarność” Pomorza Zachodniego. Myślę, że nie zawiodłem wtedy jego zaufania, w przeciwnym razie nie zaproponowałby mi potem pracy w Urzędzie Ochrony Państwa.

Majster, bo tak często go nazywano, był człowiekiem bardzo spokojnym. Nigdy nie słyszałem, aby na kogokolwiek podniósł głos. A przecież kierowanie służbami było zajęciem, które nieustannie dostarczało powodów do nerwów. Sam kilka razy doprowadziłem do sytuacji, w której prawie każdy inny szef by się wściekł. Andrzej Milczanowski, kiedy wątpił w rzetelność przekazywanej relacji, podnosił wzrok znad dokumentu, który akurat studiował (miał podzielną uwagę) i mówił, co najwyżej lekko poirytowanym głosem: *oj, bo sprawdź*. Nigdy nie trafiłem na inny przykład Jego wzburzenia.

Wszystkie zadania traktował bardzo serio. A szczególnie te związane z kierowaniem służbami. Przed objęciem funkcji szefa nie miał innych doświadczeń z tajną policją, niż te wynikające z bycia figurantem i więźniem politycznym. Ale nadrabiał lekturami. Po kilku tygodniach przeczytał chyba wszystkie dostępne wówczas poważne teksty, które opisywały pracę wywiadu i kontrwywiadu. Pamiętam, jak zaskoczył radzieckiego (jeszcze wówczas) dyplomate, który – co jasne – był szefem rezydentury KGB w Warszawie, kiedy powołał się na nazwisko ówczesnego szefa GRU, niebędące wtedy jeszcze publicznie znane. Z kolei szefa Bundesnachrichtendienst (BND)

zadziwił, kiedy okazało się, że znał panieńskie nazwisko żony Reinharda Gehlena, podczas gdy szefowi wywiadu niemieckiego nic ono nie mówiło (Wikipedii jeszcze wówczas nie było).

Fantastyczną cechą Andrzeja było to, że swoim podwładnym i współpracownikom ufał i był wobec nich lojalny. Jego zaufanie nie było łatwo zdobyć. Ale jeżeli już się do kogoś przekonał, to taką osobę chronił i wybaczał jej mniej poważne błędy. Doświadczyłem tego wielokrotnie. Informacje opracowywane w Biurze Analiz i Informacji UOP (BAiI) trafiały na biurka najważniejszych osób w państwie. Nie było możliwości, abyśmy co jakiś czas nie nadepnęli komuś na odcisk. Niektórzy odbiorcy uważali, że nie wszystko dokładnie sprawdziliśmy, przebieg zdarzeń był inny, albo nasza ocena jest nietrafiona. Czasami to my, funkcjonariusze BAiI mieliśmy rację, a czasami tak nie było. Ale zawsze mogliśmy liczyć na to, że szef stanie po naszej stronie. Wiedział, że nasze błędy wynikają nie ze złej woli czy lenistwa, ale z pośpiechu, przepracowania i stresu. Lojalność przełożonych wobec podwładnych to cecha deficytowa.

Był bardzo odważny. I to nie tylko wtedy, kiedy aktywność na rzecz wolności ruchu związkowego, suwerenności i niepodległości Polski groziła więzieniem i innymi represjami. Jego odwaga polegała też na tym, że wyrażał swoje zdanie, wiedząc, że większość słuchaczy będzie mu przeciwna. Szczególnie w sytuacjach, gdy waga sprawy była taka, że trzeba było o niej powiedzieć, pomimo że nie wszystko było sprawdzone do końca. Ufając profesjonalizmowi swoich podwładnych i widząc, że druga strona nie gra uczciwie, był gotów postawić wszystko na jedną kartę. Przyszło mu za to zapłacić ogromną cenę.

Niemożliwe jest przedstawienie Andrzeja Milczanowskiego, nie wspominając jak wielkim był erudytą. Potrafił z pamięci cytować fragmenty dzieł filozofów czy wierszy Rainera Rilkego. Słuchał muzyki poważnej i znał się na niej. Kiedy był w dobrym humorze

i sytuacja na to pozwalała, siadał do pianina i jak profesjonalista grał standardy jazzowe. Dużo czytał i godzinami można było rozmawiać z nim o lekturach.

Na spotkaniu poświęconym pamięci Andrzeja Milczanowskiego, Piotr Najsztab, który siedział z Andrzejem w jednej celi w więzieniu, powiedział, że to postać z brązu. Nie sposób się z nim nie zgodzić. Pomniki należą się Mu i za udział w wielkim sukcesie „Solidarności”, i za tworzenie Urzędu Ochrony Państwa. Razem z Krzysztofem Kozłowskim uruchomili proces, którego celem było przekształcenie policji politycznej w służbę odpowiedzialną za bezpieczeństwo w demokratycznym państwie prawa. Byli bardzo różnymi osobowościami i może dlatego świetnie się uzupełniali. Do czasu, aż Krzysztof Kozłowski zrezygnował i Andrzej Milczanowski pozostał sam na placu boju.

Przyczynił się do kilku wspaniałych sukcesów służby, ale też musiał poradzić sobie wtedy, kiedy – z przyczyn politycznych – próbowano te służby rozmontować.

Bez niego reforma służb specjalnych w Polsce by się nie udała.

Irena Popoff

Pan Andrzej Milczanowski,
Szef, Majster...

Pierwsza przywołana w tytule forma – wiadomo, oficjalna. Szeffie – tak zwracali się do niego bliscy współpracownicy.

Majster – w ten sposób o Nim mówiliśmy my, grupa tzw. młodych, którzy przyszli tworzyć pod Jego skrzydłami nowe służby specjalne Polski, czyli Urząd Ochrony Państwa.

Majster był doświadczonym prawnikiem, zaprawionym w walce opozycyjnej. My – też z opozycyjnym rodowodem, ale młodzi, trochę nieopierzeni, niektórzy bez większych doświadczeń zawodowych, a zwłaszcza w tej specyficznej branży. Klasyczny model stosowany w rzemiośle – majster i jego terminatorzy. Nieobeznany w dawnej polszczyźnie wyjaśniam, że terminator to osoba, która postanowiła nauczyć się fachu i w tym celu zgłosiła się do mistrza/majstra w danej dziedzinie. U niego zdobywała przez jakiś czas wiedzę i umiejętności, osiągając kolejne szczeble zawodowego wtajemniczenia – to znaczyło wyrażenie „iść do majstra do terminu”. I tak Andrzej Milczanowski do końca swoich dni pozostał dla większości z nas Majstrem – Mistrzem, taka jest geneza Jego przydomku...

W czasie naszej współpracy nie było wielu okazji do prywatnych rozmów. Te, które prowadziliśmy, dotyczyły spraw służbowych. Wiedziałam jednak, że kocha jazz, że sam gra na fortepianie, że praktykuje zen. Niedawno jeden z kolegów opowiedział mi, że był świadkiem tego, jak Majster w trakcie pracy, potrzebując jasnego spojrzenia na jakiś problem, udał się do drugiego pokoju i tam oddał się medytacji. To jest, moim zdaniem, bardzo cenna umiejętność,

która pomaga zobaczyć sedno sprawy bez ulegania emocjom. Sądzę, że przydałaby się ona wielu z nas...

Osobiście doświadczyłam jego empatii. Miałam duży opór przed występami przed kamerą. Wynikało to z tego, że w przeszłości, kiedy pracowałam w TVP jako m.in. współorganizator egzaminów na karty mikrofonowe i ekranowe, nie omieszkalam sprawdzić samej siebie. Było źle... Szef wiedział o mojej niechęci i przez długi czas nie naciskał. Jednak do zakresu obowiązków rzecznika prasowego należy udzielanie informacji dziennikarzom, także telewizyjnym. Nadszedł moment, kiedy nie było już możliwości wykręcenia się. Szef przyszedł wtedy do mnie i osobiście tłumaczył tę nieuchronność. Ekipa przyjechała, nagranie poszło dobrze. Szef u siebie w gabinecie czekał na informację, jak sobie poradziłam. Jak dobry ojciec, który wie, ile nerwów dziecko musiało pokonać...

Andrzej Milczanowski był szefem bardzo wymagającym – od siebie i od innych, ale sprawiedliwym. Potrafił przyznać się do błędu, do niewłaściwej oceny człowieka. Przykładem niech będzie sprawa Aleksandra Makowskiego... Było w Nim coś takiego, że wstydem byłoby zawalenie jakiejś zleconej przez Niego roboty. Nie był to strach, ale właśnie wstyd.

Szef miał zwyczaj akceptowania (lub nie) wszystkich pism czy komunikatów wychodzących ode mnie, zwłaszcza na początku mojej pracy. Zdarzyło się, że wkrótce po tym, jak zostałam rzecznikiem UOP, zwrócił się do mnie korespondent agencji TASS z prośbą o odpowiedź na kilka pytań, m.in. jak to się stało, że rzecznikiem służb specjalnych została kobieta. W tamtym czasie nie było to powszechne zjawisko w państwowych instytucjach. Znacym wyjątkiem była Małgorzata Niezabitowska, rzeczniczka rządu Tadeusza Mazowieckiego. Drugie pytanie brzmiało: skąd u rzeczniczki polskich służb specjalnych rosyjskie nazwisko.

Odpowiedziałam: *Wybór kobiety na to stanowisko spowodowany był w znacznej mierze względami pragmatycznymi. Dziennikarze*

w stosunku do kobiety nie są tak agresywni i upierdliwi, jak do przedstawicieli swojej płci. W sprawie nazwiska wyjaśniłam, że jeden z moich przodków, książę Szachowski, wdał się w wielką politykę i został zwolennikiem Dymitra Samozwańca. W efekcie musiał uciekać, zmienić nazwisko i ukryć się wśród Kozaków Dońskich. Po latach któryś z jego potomków przybył do garnizonu kieleckiego jako pułkownik wojsk kozackich. Tam zakochał się w Polce, córce ówczesnego prezydenta Kielc. Porzucił więc prawosławie, ożenił się i został w Polsce.

Moja wypowiedź była oczywiście nieco dłuższa i ubarwiona. Z tekstem poszłam do Majstra. Ten przeczytał go uważnie, rzekł tonem bardzo surowym, marszcząc przy tym gniewnie brwi: *Pani Ireno, przypominam, że już Pani nie pracuje w kabaretach...* (w TVP zajmowałam się również rozrywką, a najczęściej programami kabaretowymi). Zdziwiona zapytałam, o co Mu chodzi. Odparł, że takie niepoważne teksty nie mają prawa wychodzić od służb specjalnych. Wtedy wyjaśniłam, że w mojej odpowiedzi nie ma żadnych zmyśleń, że historia nazwiska, które noszę, jest jak najbardziej prawdziwa. Szef spojrzał na mnie podejrzliwie, ale z zaciekawieniem, utwierdził się jeszcze raz, że tekst nie jest konfabulacją ani żartem. Odpowiedź do agencji TASS poszła niezmienną w ani jednym miejscu.

Andrzej Milczanowski był człowiekiem prawym, aż do bólu propaństwowym. Służba i państwo stały zawsze na pierwszym miejscu. Pamiętam, kiedy po wyborach w 1991 r. było wiadomo, że zmieni się minister, Szef z całym rządem podali się do dymisji. Na wieść o tym sporządziłam raport z wnioskiem o zwolnienie ze służby i poszłam z nim do jeszcze urzędującego Majstra. Podobnej bury nigdy w życiu nie dostałam. W wielkim skrócie: usłyszałam, że jestem funkcjonariuszem państwowym i moim obowiązkiem jest służyć Państwu niezależnie od tego, czy nowy rząd mi się podoba, czy nie. Taka postawa, jak moja, prowadzi do

bezhołowia, niszczy sprawne funkcjonowanie struktur państwowych i co by było, gdyby wszyscy postępowali tak, jak ja planuję itd., itp. Jak pies z podkulonym ogonem wróciłam do siebie. Zniszczyłam raport, mrucząc pod nosem, że poczekam, aż dostanę realny powód do odejścia. Długo nie musiałam czekać. Zostałam wezwana przez nowego szefa, który poinformował mnie, że oczekuje, abym niektórych, wskazanych przez niego, dziennikarzy traktowała priorytetowo, tzn. dawała im informacje wyprzedzające i zapraszała na indywidualne spotkania. Było to dla mnie nie do przyjęcia. W czasach, gdy Andrzej Milczanowski był Szefem UOP drzwi były otwarte dla dziennikarzy pracujących dla wszystkich opcji politycznych. Od początku naszym celem było pokazanie, że nowe polskie służby specjalne działają w poszanowaniu demokratycznych norm społecznych, gdzie każdy dziennikarz pracujący dla legalnego medium ma takie samo prawo do informacji. Odeszłam z UOP, by wrócić po tzw. nocy teczek w 1992 r. Wezwał mnie z powrotem minister Andrzej Milczanowski.

Na koniec chciałabym pochwalić się naszym obopólnym sukcesem. Szef na ogół pracował wśród mężczyzn, kobiety pozostawiał gdzieś w tle. A tu nagle, w gronie najbliższych współpracowników pojawiłam się ja, kobieta. Wprawdzie sam mnie wybrał, ale nie zmieniało to faktu, że byłam wówczas jedyną przedstawicielką płci pięknej wśród jego kadry kierowniczej. Tylko jeden, jedyny raz, w trakcie dyskusji nad jakimiś ustaleniami, Szef nie wytrzymał i wyjęczał: *jak ja nie lubię pracować z babami...* Faktem jest, że staraliśmy się oboje: On – panować nad emocjami, a ja – nie dawać Mu asumptu do takich reakcji. Ten Jego swoisty mizoginizm, patrząc na to z perspektywy szef–podwładny, był w mojej ocenie Jego jedyną wadą.

Wspominałam już wcześniej, że Szef nie był osobą wylewną. Ja do takich też nie należę, więc gdybym jeszcze mogła, to chciałabym wysłać do Niego liścik:

Szefie!

Dziękuję za lata wspólnej pracy. Najciekawsze lata w moim życiu zawodowym. Dziękuję za poczucie bezpieczeństwa, które miałam, pracując pod Pana kierownictwem. Dziękuję za naukę spokojnej oceny sytuacji i wynikających z niej skutków. Dziękuję za prostą, ludzką życzliwość.

Z szacunkiem, poważaniem i sympatią
Irena Popoff

Wojciech Raduchowski-Brochwicz

Andrzej Milczanowski.
Służba i przyjaźń (1990–2024)

Wczesną wiosną 1990 r., późnym wieczorem, w resortowym hotelu „Karat” przy ulicy Słonecznej w Warszawie, Andrzej Milczanowski po raz kolejny dawał mi łupnia w szachy. Po dziadku – szachowym mistrzu – uważałem się za niezłego gracza, ale Szefer odzierał mnie ze złudzeń. Gorycz nieuchronnej przegranej dopełniało nieodparte wrażenie, że z każdym przesunięciem figury na szachownicy jestem poddawany jakiemuś bezwzględnemu testowi, krytycznemu sprawdzeniu daleko wykraczającemu poza samą grę. Głęboko zaciągając się papierosami, rzucaliśmy jakby mimochodem rozmaite uwagi, które bynajmniej nie dotyczyły tej rozgrywanej przez nas na szachownicy partii...

Od pewnego czasu uczestniczyliśmy bowiem w o wiele większej, dużo poważniejszej i naprawdę niebezpiecznej grze. Pod kierunkiem Krzysztofa Kozłowskiego i właśnie Andrzeja Milczanowskiego grupa byłych działaczy antykomunistycznej opozycji, do której należałem, dokonywała gruntownego remontu bastionu władzy PRL, czyli Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wraz z przynależnymi mu służbami. Przejmowaliśmy kontrolę nad gmachem i jego mrocznymi tajemnicami, prowadziliśmy weryfikację funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa – wywiadu, kontrwywiadu, jednostek pomocniczych. Projektowaliśmy także struktury przyszłego Urzędu Ochrony Państwa, prowadziliśmy nabór nowych kadr, nawiązywaliśmy współpracę ze służbami zachodnich państw demokratycznych, knuliśmy, jak wykurzyć z kraju sowiecką armię i jak zapewnić trwałość ustrojowych zmian, które właśnie zachodziły w Polsce.

Oprócz szefów, czyli Krzysztofa Kozłowskiego i Andrzeja Milczanowskiego, do naszego zespołu zaliczali się: Bartłomiej Sienkiewicz, Piotr Stachańczyk, Piotr Niemczyk, Konstanty Miodowicz oraz Kazimierz Mordaszewski. Przez wiele miesięcy 1990 r. byliśmy jedynymi nowymi osobami w poddanych transformacji strukturach bezpieczeństwa państwa. Potem, jesienią, zaczęli dołączać inni. Czuliśmy rosnące wsparcie i siłę kolegów, którzy współpracując z nami, wzięli na swoje barki trud budowy delegatur UOP w całej Polsce.

W tym czasie praca Andrzeja polegała m.in. na bezpośrednim zadaniowaniu i nadzorowaniu działalności naszej „grupy założycielskiej”. Byliśmy skrupulatnie rozliczani ze stawianych nam zadań i poddawani bezlitosnej krytyce w razie popełnienia błędu. Każdy z nas mógł liczyć na precyzję wymagań zwierzchnika, jego rzeczowe wskazówki i lojalność. Przynajmniej ja tak to zawsze odczuwałem. I zawsze, gdzieś w tyle głowy, towarzyszyło mi Jego sakramentalne, chrapliwe, nieuniknione: *sprawdzam!*

Dużo czasu w codziennej pracy zabierało Andrzejowi poznawanie pracowników poszczególnych biur i departamentów likwidowanych struktur bezpieczeństwa. Prowadził z oficerami wielogodzinne rozmowy, podczas których nie tylko oceniał poszczególnych ludzi, lecz także intensywnie wchłaniał nową dla siebie wiedzę zawodową. Jak mawiał, poznawał państwo od trzewi.

Przychodził do swojego biura rano, wychodził późną nocą. I tak dzień po dniu... Często pracowaliśmy równie długo, dlatego szczególnie pamiętam swoje pełne zachwytu zaskoczenie, kiedy późnym wieczorem na schodach przed ministerstwem, po wielu zimnych miesiącach poczułem nagle powiew ciepłego, pachnącego wiosną powietrza...

Kiedy niedługo później ruszyła weryfikacja SB, to w krótkim czasie cała nasza ekipa z powodu fizycznego zagrożenia musiała się ewakuować z hotelu „Karat” do innego ochranianego obiektu. Jednak to już zupełnie inna historia.

Przez wiele lat poznawałem Andrzeja. Był moim przełożonym zarówno na tym najwcześniejszym etapie budowy Urzędu, jak i w czasie mojej służby w Zarządzie Kontrwywiadu UOP, do którego skierował mnie w dniu powstania tej jednostki. Otrzymałem zadanie utworzenia Wydziału Wschodniego, Wydziału Antyterrorystycznego, a nieco później Wydziału Antymafijnego. Od początku nadzorowałem też Wydział Niemiecki.

Szef Milczanowski bezpośrednio kierował pracą moją oraz podległych mi zespołów. Żywo interesował się naszą zawodową aktywnością, a jego życiowe doświadczenie, spokój i uczciwość szybko zaakarbiły Mu szacunek wszystkich pracowników, bez względu na to, skąd do służb przychodzili – czy byli byłymi opozycjonistami, czy funkcjonariuszami poprzednich służb. Budował mosty i wymuszał nawiązywanie nowych więzi ponad dotychczasowymi podziałami.

Dbał o zawodowy rozwój podległych oficerów. Kończyliśmy elitarne szkolenia w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych, niektórzy także w Kijutach.

Przez te pierwsze miesiące i lata Niepodległej to Andrzej Milczanowski wyznaczał kurs polskim tajnym służbom. Kurs apolityczny, patriotyczny i mocno osadzony w realiach ówczesnej Rzeczypospolitej. To On podejmował decyzje o naszym udziale w przedsięwzięciach, które stały się fundamentem i mitem założycielskim polskiego wywiadu i kontrwywiadu. To za Jego sprawą zaczęliśmy ściśle współpracować ze służbami Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych czy Francji. Dzięki operacji „Most” nawiązaliśmy też bliskie relacje ze służbami Izraela. Również na polecenie Szefa Milczanowskiego zespoły oficerów UOP, do których należałem, wyjeżdżały do Moskwy. Mielśmy okazję na miejscu, z bliska obserwować gwałtowny proces upadku ZSRR. I wyciągać wnioski...

Po dymisji i nieudanej, na szczęście, próbie zniweczenia tych wszystkich starań przez członków rządu Jana Olszewskiego, Andrzej powrócił na Rakowiecką jako minister spraw wewnętrznych.

Przez kilka miesięcy byłem Jego osobistym sekretarzem. Potem skierował mnie do nowo powstałej Straży Granicznej. Nadzorował już wtedy cały ogromny resort, przede wszystkim UOP, a w nim Zarząd Kontrwywiadu oraz Zarząd Wywiadu, Policję Państwową, Straż Graniczną, Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe, Państwową Straż Pożarną, Biuro Ochrony Rządu, jednostkę wojskową GROM. Doglądał, decydował, brał pełną odpowiedzialność, co dla nikogo z podległych mu pracowników nie było tajemnicą.

Przez wiele lat służby, w licznych podróżach, misjach zagranicznych i negocjacjach moim Szefem, Ministrem i najlepszym w życiu przełożonym był Andrzej Milczanowski. Szachista. Namiętny palacz. Pianista. Miłośnik filozofii Nietzschego, niemieckiej poezji i buddyzmu zen. Patriota. Nauczyciel. Mąż Stanu. Przyjaciel. Majster.

A potem zakończył działalność rządową. Wrócił do Szczecina. Otworzył praktykę notarialną. Jednak nie stracił kontaktu z ludźmi. Obserwował nasze działania i przygody. Pomagał, kiedy tylko czuł, że powinien. Zdecydowanie występował przeciwko wszelkim pomysłom polityków, łamiącym umowę społeczną zawartą z funkcjonariuszami dawnych służb, którzy przeszli na „jasną stronę mocy” i wsparli odzyskaną niepodległość. Był aktywnym obrońcą swoich dawnych podkomendnych. Jak zawsze w służbie, zdecydowanym i lojalnym. Z bezkompromisową odwagą i prawniczą precyzją piętnował polityczne niegodziwości.

Rozmawialiśmy przez telefon latem 2024 r. O tym, co było sednem Jego aktywności i przedmiotem zgryzoty w ostatnich latach: o krzywdzie, którą tysiącom naszych funkcjonariuszy wyrządzili autorzy haniebnego dezubekizacji. I o tym, że trwa rządowa operacja przywracania skrzywdzonym należnych im praw. Największa operacja w moim życiu, z której przebiegu, w ostatnim danym ministrowi Milczanowskiemu przez Boga tygodniu, zdążyłem zdać Mu przynoszący – w co wierzę – wzruszenie i ulgę raport.



Upoważnienie dla Wojciecha Brochwicza podpisane przez
Andrzeja Milczanowskiego, 15 czerwca 1990 r.

Źródło: prywatne zbiory Wojciecha Raduchowskiego-Brochwicza.

Edward Radzewicz

Jak starszy brat...

Mimo że Go nie ma, to dalej nie przyjmuję tego faktu do wiadomości. On dla mnie był, jest i będzie...

Andrzej zastępował mi starszego brata, którego nigdy nie miałem, bo w swojej rodzinie byłem najstarszy. Był moim przewodnikiem, człowiekiem, bez którego na pewno nie byłbym tym, kim jestem w tej chwili.

Po raz pierwszy spotkałem Go w kościele, latem 1983 lub 1984 r., kiedy po amnestii wyszedł z więzienia. Był blady, cerę miał jak papier, ale gdy usłyszałem Jego głos... Andrzej był już wtedy na tyle rozpoznawalny, że wiele osób zgromadziło się tam, żeby Go przywitać. Był więźniem, siedział za to, że kierował strajkiem w stoczni 13 grudnia 1981 r.

Andrzej sam nigdy nie pchał się na afisz. Miał jednak szczególną osobowość, która sprawiała, że wszyscy wiedzieli, że to właśnie On odgrywa główną rolę, że wie, co, dlaczego i w jakim celu robi. Każdy, kto choć raz z Nim porozmawiał, od razu orientował się, że to jest człowiek czynu, a nie pustych słów.

Budził duży respekt, w niektórych nawet strach. Kiedyś moja teściowa przyznała, że postrzegała Andrzeja jako groźnego, trzymającego dystans człowieka. Jednak kiedy przyszedł do nas na obiad i prowadził z nią długie rozmowy, nie mogła wyjść z podziwu i przyznała, że była w błędzie, a Andrzej to fantastyczny gość. Inaczej Go odbierano w sytuacjach służbowych, a inaczej w kontaktach bezpośrednich. Tak naprawdę był bardzo otwarty, niezwykle życzliwy. Nie pamiętam, żeby komukolwiek kiedykolwiek odmówił pomocy.

Na nikogo się nie obrażał. Wiedział, że ludzie są ułomni i słabi, zazwyczaj starał się po prostu sprowadzić ich na lepszą drogę. Miał dużą wiedzę, był szalenie czytany, prawym człowiekiem.

Na początku naszej znajomości porozumiewaliśmy się ze sobą jak przysłowiowi złodzieje. Nawet nie musieliśmy używać słów, niczego umawiać. Każdy robił po swojemu i zawsze dokładnie to, co należało. W tamtych czasach nie można było niczego ustalić telefonicznie, bo byliśmy – wiadomo – na podsłuchu. W naszej historii nie można pominąć Jerzego Zimowskiego. Stanowiliśmy trio. Ja byłem człowiekiem od organizacji i zarządzania ludźmi, Andrzej miał kontakty na zewnątrz, Jurek Zimowski był naszą ostoją. Gdy próbowaliśmy zrobić jakąś głupotę, a nie raz to mogło się przydarzyć, tonował nas i wielokrotnie wybijał nam z głowy niedorzeczne pomysły. Do dziś jestem mu za to wdzięczny. Andrzej był człowiekiem praktycznym. Umiał zjednoczyć ludzi, sprawić, że Szczecin, Koszalin czy Gorzów robiły coś wspólnie. Potrafił stworzyć grupę z ludzi, którzy działali dyskretnie, a nie na pokaz. Aktywność w podziemiu polega na tym, żeby robić swoje w taki sposób, by nikt nie domyślił się, do czego się zmierza, a nie na tym, żeby dać się zamknąć. Andrzej potrafił zorganizować, poprowadzić i przeprowadzić ludzi przez trudne czasy. A przecież sam ciągle był na nasłuchu. Pamiętam pewną sytuację: wchodzimy z Andrzejem do jego domu i On przykładą palec do ust, pokazując mi, żebym był cicho. Okazało się, że od sąsiada z góry przewiercono otwór i wstawiono kamerę z mikrofonem. Gdyby nie paproch, który spadł na łóżko, Andrzej nigdy by się tego nie domyślił. Tak wyglądała nasza podziemna działalność, trzeba było się strzec na każdym kroku.

Gdy w sierpniu 1988 r. organizowałem strajk w szczecińskim porcie, to zdałem sobie sprawę, że bez Andrzeja nie dam rady. Nie musiałem Go prosić, sam natychmiast się pojawił. Z kolegami przebraliśmy Go za robotnika i przemyciliśmy do portu. Strajk się zaczął ze względu na płace, ale nam chodziło o coś innego – o to, żeby stanąć

w obronie „Solidarności”. Andrzej potrafił przemówić do ludzi, których tam spotkał. Było wśród nich może pięć osób ze średnim wykształceniem, reszta była po podstawówkach i zawodówkach. I ci ludzie Go zrozumieli, poparli i tak zaczął się 18-dniowy strajk w Porcie Szczecin. To wydarzenie stało się podstawą do zorganizowania nielegalnej struktury „Solidarności”, która działała i zyskała nazwę Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego. Jego pomysłodawcą był Jacek Merkel z Gdańska. Oni założyli swój komitet w Gdańsku, a my – w Szczecinie. Kiedy jechałem do Magdalenki 15 września 1988 r., to ta struktura wprowadzie nielegalnie, ale już istniała. Popierały mnie tysiące ludzi (gdy w kwietniu 1989 r. rejestrowaliśmy „Solidarność”, to mieliśmy aż 50 tys. członków), więc było o czym rozmawiać z rządem.

Andrzej nigdy nie chciał przyjąć żadnych funkcji, trzymał się gdzieś z tyłu, był w kontakcie z Warszawą, Gdańskiem. Nie miałby czasu na organizowanie jeszcze struktur, które się tworzyły, bo niemal codziennie do MKO zgłaszał się nowy zakład.

Po Okrągłym Stole i po wydarzeniach 1989 r. byłem dumny, że Andrzej i Jurek Zimowski zaczęli tworzyć nowe instytucje państwowe: Jurek – Straż Graniczną, Andrzej – Urząd Ochrony Państwa. Andrzej nie miał oporów, żeby wejść w środowisko, które chwilę wcześniej go inwigilowało. Znalazł się wśród wielu ludzi należących do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, do Służby Bezpieczeństwa, ale nie zważał na ludzkie ułomności, szukał tych, którzy nie starali się jedynie przetrwać, ale potrafili myśleć. Mówił im wprost, że nie chodzi o to, żeby się mścić, ale o to, żeby dobrze załatwić sprawy, a nikt nie robi tego lepiej od nich. Będą służyć krajowi, a nie Związkowi Radzieckiemu. W efekcie przekonał prawie wszystkich. Był niesamowitym państwowcem, po prostu.

Wtedy nasze relacje trochę się rozluźniły. Z uwagi na pracę Andrzeja w UOP nie było warunków na zwykłe pogawędki, ale spotykaliśmy się czasem na jakiejś kawie. Nadrobiliśmy, gdy w 1995 r.

odszedł ze stanowiska. Wtedy często się widywaliśmy. Przez ostatnie osiem lat wróciła nam werwa, w Szczecinie non stop brylowaliśmy na placu „Solidarności”. Andrzej pisał książkę o tym, jak to wszystko wyglądało naprawdę. Szkoda, że doszedł do wniosku, że trzeba ją spalić. I spalił. To prawdziwy Andrzej, nie chciał nikomu zaszkodzić.

Jak zaznaczyłem na wstępie: Andrzej dla mnie był, jest i będzie. Gdy żegnałem Go na cmentarzu, nie powiedziałem „żegnaj” lecz „do zobaczenia”...

Michał Stręk

Andrzej Milczanowski –
lider, nie majster

Tak wiele się zdarzyło, a tak niewiele się pamięta...

Nasze pierwsze spotkanie z Andrzejem Milczanowskim odbyło się na początku sierpnia 1990 r. podczas złożenia przeze mnie na jego ręce przysięgi w gabinecie na Rakowieckiej w Warszawie. Zapamiętałem te pełne emocji niezwykle chwile ze względu na okoliczności i miejsce, a samego odbierającego przysięgę – jako człowieka skupionego i surowego.

Późną jesienią 1990 r. Andrzej Milczanowski przyleciał śmigłowcem do Przemyśla, gdzie mieścił się Wydział Zamiejscowy Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Rzeszowie, aby rozpoznać stan organizacji struktury nowo utworzonego urzędu. Odpowiednio wcześniej z centrali w Warszawie przekazano mi informację o miejscu i godzinie spotkania z przełożonym. O wyznaczonym czasie stawilem się na lądowisku w Przemyśle – a tam pusto. Zdezorientowany sytuacją pojechałem do siedziby Wydziału Zamiejscowego i tam zastałem szefa UOP Andrzeja Milczanowskiego oraz wiceministra spraw wewnętrznych Jerzego Zimowskiego przyjmowanych przez Wojewódzkiego Komendanta Policji w Przemyśle. Przepraszając za spóźnienie, miałem świadomość że bardzo zawiodłem swojego przełożonego. Minister Zimowski skomentował tę sytuację humorystycznie, nawiązując do braku poziomu dyscypliny, która jeszcze nie zapanowała w nowo powstałej instytucji. Szef Milczanowski zapewne nie czuł się komfortowo, ale zareagował spokojnie, zwracając się do spóźnialskich z naganą w głosie – żeby to się nie powtórzyło. Odebrałem to wówczas jako ogromną wyrozumiałość dla początkującego funkcjonariusza.

W połowie 1991 r. minister Krzysztof Kozłowski wizytował służby podległe Ministerstwu Spraw Wewnętrznych w południowo-wschodniej Polsce. Przyleciał również szef UOP Andrzej Milczanowski. Stawiłem się na lotnisku w Krośnie punktualnie, co pamiętający spóźnienie w Przemyśle Andrzej Milczanowski skwitował kilkoma słowami i zaproponował, bym poleciał do Rzeszowa wraz z nimi. Z lotniska w Jasionce koło Rzeszowa wizytujący udali się do Komendy Wojewódzkiej Policji w Rzeszowie, ponieważ siedziba Delegatury UOP znajdowała się w tym samym budynku. Szef Milczanowski szybko odwiedził kilka wydziałów. Poza ogólnym oprowadzeniem i przedstawieniem aktualnego stanu organizacji nie było czasu na konkretne rozmowy.

Organizowanie delegatury pochłaniało kilkanaście godzin dziennie, a problemy z tym związane omawiano na odprawach w Warszawie oraz telefonicznie. Bezpośrednie kontakty z szefem Milczanowskim ograniczały się wówczas do krótkiej wymiany informacji dotyczących konkretnych spraw. Do stycznia 1992 r., kiedy Andrzej Milczanowski odszedł ze stanowiska szefa UOP, zaawansowany poziom organizacji delegatury umożliwił podjęcie merytorycznej pracy.

Od tego czasu moje kontakty z Ministrem były incydentalne. Miały miejsce na oficjalnych spotkaniach, które nie dawały możliwości na choćby krótką wymianę zdań. Zmieniło się to po odejściu Andrzeja Milczanowskiego z MSW w grudniu 1995 r. Przy okazji moich pobytów w Szczecinie przy znacznej pomocy Jana Wesołowskiego miałem okazję dwukrotnie rozmawiać z Ministrem w Jego domu. Rozmowy te trwały czasem do późnych godzin nocnych. Dotyczyły wspomnień z lat 1980–1990 oraz doświadczeń po 1990 r. Słuchał z uwagą i ciekawością moich relacji z pracy w UOP, czasem uśmiechając się, jakby wiedział o naszych ówczesnych problemach i potyczkach z tego wynikających. To już nie był odpowiedzialny, zdecydowany, konsekwentny i nieustępliwy, niemalże wyzywający

Andrzej Milczanowski, jakim go pamiętałem ze spotkań z okresu swojej pracy w UOP i MSW.

Nasze prywatne rozmowy dotyczyły trudnych wyborów, lojalności, poświęcenia oraz wartości wyniesionych z okresu działalności w podziemiu solidarnościowym. Teraz zobaczyłem człowieka ciepłego, cierpliwego i chyba niekiedy zawiedzionego rozwojem wypadków, ale nie zniechęconego. Bo przecież dalej był aktywny społecznie i politycznie. Postrzegano go jako bardzo samodzielnego i krytycznego uczestnika debat oraz konferencji. Zasłużył na miano państwowca, bo niewątpliwie nim był, chociaż czasem płacił za to wysoką cenę – był coraz mniej rozumiany. Od początku wyznawał przekonanie, że postępująca anarchizacja społeczeństwa działa na niekorzyść żywotnych interesów państwa. A dążenie do tego, aby wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich w imię złe pojętej wolności, czyni społeczeństwo łatwym do zmanipulowania i bezbronnym w obliczu współczesnych środków wojny hybrydowej. Ostatnia moja bezpośrednia rozmowa z Andrzejem Milczanowskim, w której uczestniczył też Zbigniew Nowek, odbyła się w 2018 r. przy okazji spotkania w Magdalence. Obaj mieliśmy za sobą doświadczenia w pracach sejmowej Komisji do Spraw Służb Specjalnych, rozmawialiśmy więc o kondycji służb i coraz większej presji polityków na ich działania oraz potencjalnych skutkach z tego wynikających.

Andrzej Milczanowski był patriotą. Dla dobra Ojczyzny dawał przykłady poświęcenia, lojalności i odwagi, m.in. wtedy, gdy wziął odpowiedzialność za kierowanie strajkiem w grudniu 1981 r. w Stoczni Szczecińskiej, gdy ogłosił w sejmie w grudniu 1995 r. informacje o ustaleniach UOP dotyczących Józefa Oleksego, czy też gdy w 2015 r. zdecydowanie odciął się od Lecha Wałęsy, kiedy ten publicznie przepraszał Józefa Oleksego. Moim zdaniem zasadniczość, która Go cechowała, była godna męża stanu. Myślę, że wysokie wymagania postawione samemu sobie oraz wrodzona

skromność podyktowały prośbę, by jego pogrzeb nie miał charakteru państwowego i odbył się w gronie najbliższych.

Gdy wspominam Andrzeja Milczanowskiego towarzyszy mi smutna refleksja, którą wyraziłem w tytule tych wspomnień.



Wnętrze Katedry Polowej Wojska Polskiego w Warszawie przed mszą św. w intencji śp. Andrzeja Milczanowskiego. 29 lipca 2024 r.

Źródło: prywatne zbiory Michała Stręka.

Jan Wesołowski

O Andrzeju mniej oficjalnie

Trudno jest mi pisać o śp. Andrzeju Milczanowskim jak o kimś, kogo w moim życiu już bezpowrotnie nie ma. Jeśli jednak już to robię, to spróbuję przedstawić Go mniej od strony oficjalnej, jako przełożonego (najpierw wiceszefa i szefa Urzędu Ochrony Państwa, potem ministra spraw wewnętrznych), a bardziej jako mądrego, ciekawego człowieka.

Jako szef był wymagający, konkretny, czasami surowy, ale zawsze sprawiedliwy. Cieszył się ogromnym szacunkiem funkcjonariuszy zarówno starych, jak i nowych, czyli naszym. Wiele wymagał od współpracowników, ale jeszcze więcej od siebie. W pierwszych miesiącach po przyjęciu nowych dla niego obowiązków spał po 3–4 godziny na dobę – w ciągu dnia wypełniał bieżące obowiązki, a w nocy studiował przepisy, zapoznawał się z aktami, dokumentami, uczył się.

Andrzeja poznałem ponad 40 lat temu, na początku lat 80. XX w. Wówczas to nie była bliska znajomość. Zarówno dla mnie, jak i dla innych ludzi z naszego środowiska był niekwestionowanym autorytetem, przywódcą najpierw podziemia, potem opozycji na naszym terenie. W drugiej połowie lat 80. to On zmobilizował mnie do bardziej aktywnego zaangażowania się w działalność proobywatelską (doradzanie „Solidarności”, udział w pracach Obywatelskiego Komitetu Porozumiewawczego). W 1990 r. zaproponował mi wstąpienie do służby w Urzędzie Ochrony Państwa i podjęcie się zorganizowania Delegatury UOP w Szczecinie oraz kierowania nią, na co zdecydowałem się po dłuższym wahaniu. Wbrew temu, co

niektórzy sądzą, nie byłem wtedy osobą z Jego bliskiego otoczenia. W czasie gdy był moim przełożonym, traktował mnie tak samo, jak innych podwładnych, bez żadnej taryfy ulgowej. Nasze stosunki stały się bliższe po Jego rezygnacji ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych w grudniu 1995 r.

Gdybym miał w krótkich słowach określić Jego postawę i główną cechę charakteru, to bez wahania powiedziałbym – Andrzej Milczanowski był człowiekiem prawym. Sam krystalicznie uczciwy i bezinteresowny, nie tolerował nieuczciwości i prywaty w żadnej postaci. Był człowiekiem honoru, bez względu na to, jak Jego postępowanie oceniali inni.

Niektórzy opozycjoniści z czasów podziemia mieli (i nadal mają) Mu za złe zaangażowanie w sprawę obrony emerytur funkcjonariuszy byłej SB, którzy po pozytywnej kwalifikacji (tzw. weryfikacji) zostali przyjęci do nowo powstałych służb mundurowych. Andrzej Milczanowski uważał, że w sytuacji, kiedy w imieniu państwa polskiego zagwarantował im zachowanie uprawnień emerytalnych, to Jego obowiązkiem było udzielenie pomocy tym ludziom w sytuacji, kiedy to samo państwo, nie bacząc na wcześniejsze zobowiązania, te emerytury drastycznie im obniżyło.

Absolutnie nieuprawnione jest oskarżanie Go o zdradę ideałów, czy też zbliżenie się do lewicy. Andrzej nigdy nie sprzeniewierzył się ideałom „Solidarności” (tej prawdziwej) ani nigdy nie zapomniał czym był PRL. Nie był członkiem, czy też nadmiernym sympatykiem żadnej partii z aktywnych w kraju sił politycznych. Trzeźwo osądzał zarówno ich osiągnięcia, jak i potknięcia. Był człowiekiem głęboko wierzącym, praktykującym katolikiem, choć nie bezkrytycznym w ocenie działań niektórych przedstawicieli Kościoła jako instytucji. Od 2016 r. aktywnie zaangażował się w działania na rzecz przywrócenia praworządności. Swoje stanowisko prezentował zarówno w oświadczeniach, jak i w udzielanych wywiadach. Pomimo pogarszającego się stanu zdrowia uczestniczył w niemal wszystkich

organizowanych w Szczecinie manifestacjach przeciwko łamaniu konstytucji i niszczeniu praworządności. Jego płomienne przemówienia porywały uczestników manifestacji, tak jak przed laty.

Prywatnie był człowiekiem niezwykle skromnym, życzliwym wobec innych. Pomagał wielu ludziom, zarówno wykorzystując swoją dużą wiedzę prawniczą, jak i w sposób materialny. Nigdy nie odmawiał potrzebującym, lecz nie obnosił się z tym (wiedzę o tych działaniach mam m.in. od tych osób, którym pomógł).

Miał szerokie zainteresowania, obejmujące zarówno filozofię, historię, architekturę, politykę, jak i muzykę, a szczególnie jazz. Posiadał ogromną kolekcję książek i płyt. Sam świetnie grał na pianinie. Bardzo dużo czytał, zarówno pozycji historycznych, biograficznych, jak i dotyczących działań służb, choć nie tylko. Podziwiał architekturę starego Szczecina, a w lekturach wracał do miejsc swojego dzieciństwa i młodości – do Lwowa i Gliwic.

Pomimo ciężkiego stanu zdrowia do niemal ostatnich dni swojego życia walczył o zachowanie sprawności fizycznej, ćwiczył najpierw z fizjoterapeutą, później sam. Radość sprawiało Mu pokonywanie najpierw kilku, kilkunastu, potem kilkuset metrów. Niestety, nie dał rady...

Ostatni raz rozmawiałem z Nim w przeddzień jego śmierci. Zatelefonował do mnie ze szpitala, był spokojny i opanowany, choć wiedział, że Jego stan jest ciężki.

Jego odejście to wielka strata nie tylko dla bliskich Mu osób, ale też i dla Kraju.

Jan Widacki

Z Andrzejem Milczanowskim
przejście przez Zawrat

Poznałem Go na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku w czasie prac nad tzw. ustawami policyjnymi. Przedstawił nas sobie nasz wspólny przyjaciel, wtedy poseł z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego Jerzy Zimowski. Do tego momentu wiedziałem o Andrzeju Milczanowskim niewiele: to, że był znaczącą postacią zachodniopomorskiej „Solidarności”, że w stanie wojennym był internowany, sądzony i siedział w więzieniu. Od Jurka Zimowskiego dowiedziałem się jeszcze, że Milczanowski był prokuratorem, ale wystąpił z prokuratury i został radcą prawnym. Potem był bardzo zaangażowany w działalność „Solidarności”, a po jej delegalizacji w stanie wojennym aktywnie uczestniczył w podziemiu. Znacznie więcej dowiedziałem się później od samego Andrzeja w czasach naszej współpracy i, nie waham się użyć tego słowa, przyjaźni.

Przy okazji prac nad ustawami, które miały nadać polskim służbom policyjnym oraz specjalnym nową strukturę, organizację, a zwłaszcza nową filozofię, widzieliśmy się kilka razy w Warszawie. Z tego okresu zapamiętałem Milczanowskiego jako człowieka skrajnie introwertycznego, który na różnych naradach i spotkaniach siedział z kamienną twarzą, mało się odzywał, ale jak już to zrobił, to zawsze trafnie i na temat. Budził mój szacunek i ciekawość. Jurek Zimowski był jego przeciwieństwem: rozmowny, wesoły, życzliwie nastawiony do ludzi i świata. Zawsze zastanawiałem się, jak tak różne osobowości mogą stanowić tak znakomity duet przyjaciół i tak doskonale się uzupełniać.

Dnia 1 sierpnia 1990 r. udaliśmy się z niedawno mianowanym ministrem spraw wewnętrznych Krzysztofem Kozłowskim, którego prasa nazywała pierwszym niekomunistycznym ministrem spraw wewnętrznych po 1945 r., Jerzym Zimowskim oraz Andrzejem Milczanowskim do budynku Urzędu Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich, gdzie przyjął nas i wręczył nam nominacje premier Tadeusz Mazowiecki (pierwszy niekomunistyczny premier po 1945 r.). Andrzej Milczanowski został szefem Urzędu Ochrony Państwa, my z Jurkiem wiceministrami spraw wewnętrznych. Należy zwrócić uwagę, że ten potężny wówczas resort, w którego strukturze były Policja, Urząd Ochrony Państwa, Straż Pożarna, Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe oraz Wojska Ochrony Pogranicza, które dwa miesiące później przekształcono w Straż Graniczną, był kierowany przez ministra i jego zaledwie dwóch zastępców (wice-ministrów). A był to czas, gdy Milicję Obywatelską przekształcano w Policję, UOP organizowano od początku, WOP rozwiązywano i przekształcano w Straż Graniczną. Do organizacji Policji i UOP był potrzebny podział bazy lokalowej i logistycznej dawnej MO, w której strukturze funkcjonowały Milicja i bezpieczeństwa. To wymagało, jak wówczas liczyliśmy, wymiany kilkuset wewnątrzresortowych aktów prawnych. W tę tytaniczną pracę wniosło nieoceniony wkład Biuro Prawne, którego dyrektorem była płk dr Janina Orłowska (wywodząca się ze starych struktur) i doktor (wtedy jeszcze nie pułkownik) Jerzy Nózka, do niedawna adiunkt w Uniwersytecie Jagiellońskim i sekretarz tamtejszego rektora. To wszystko musiało się dokonać w ustawowo określonym czasie trzech miesięcy. Równocześnie trwała weryfikacja funkcjonariuszy dawnej Służby Bezpieczeństwa. Z jej pierwszą fazą nie miałem nic wspólnego, zaczęła się zanim trafiłem do ministerstwa. Za to w drugiej, czyli na etapie rozpatrywania odwołań od decyzji komisji wojewódzkich, w zastępstwie Krzysztofa Kozłowskiego i z jego upoważnienia, kierowałem komisją odwoławczą. O tym za chwilę.

Po nominacji pojechalśmy do resortowej willi przy ul. Zawrat, spokojnej bocznej uliczce odchodzącej od ul. Puławskiej mniej więcej na wysokości gmachu Komendy Głównej Policji. Ta willa miała się stać na najbliższe lata naszym wspólnym domem. Mówiliśmy o niej po prostu Zawrat. Nie wiem, czy nazwa ulicy ma coś wspólnego z przełęczą Zawrat, która rozciąga się od Hali Gąsienicowej do Doliny Pięciu Stawów albo rozpoczyna szlak Orlej Perci w Tatrach. To jeden z bardziej malowniczych szlaków turystycznych umocniony klamrami i łańcuchami. Przejście przez Zawrat to wyczyn dla początkującego turysty dostarczający wielu pięknych, niemal metafizycznych wzruszeń. W nazwie Zawrat podświadomie wyczuwaliśmy coś symbolicznego. Od Zawratu zaczynaliśmy marsz na szlaku polityki. Trudny i niebezpieczny jak Orla Perc, lecz mogący dostarczyć wielu szlachetnych doznań. Dziś brzmi to trochę staroświecko, może nawet niewiarygodnie, ale polityka, jeśli pojmować ją jako służbę dobru wspólnemu, naprawdę może być piękna i szlachetna. Naprawdę!

Oprócz nas trzech w Zawracie mieszkali też Wojciech Brochwicz, którego Krzysztof Kozłowski ściągnął z Krakowa i przez jakiś czas, o ile dobrze pamiętam, Bartłomiej Sienkiewicz.

Tej willi warto poświęcić kilka słów. Od ulicy odgradzał ją mur, przy bramie była wartownia, gdzie pełnili służbę żołnierze Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych. Za willą roztaczał się duży, pięknie utrzymany park, który sąsiadował z ogrodem rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych, wybudowanej jako kopia domu Lincolna z Illinois. Nieliczne wnętrza willi na Zawrat są znane, bowiem ich fotografie – podpisane jako wnętrza willi w Magdalence – były publikowane w różnych opracowaniach na temat Okrągłego Stołu. Prawda jest taka, że niektóre spotkania uczestników Okrągłego Stołu odbywały się w węższym gronie w willi wywiadu w Magdalence oraz czasem właśnie na Zawrat, a nie w Pałacu Namiestnikowskim, dziś – Prezydenckim.

Z willą na Zawrat wiązała się jedna peerelowska legenda, której autentyczności nigdy nie weryfikowałem. W 1964 r. zmarł w niej Aleksander Zawadzki, wieloletni przewodniczący Rady Państwa, członek najwyższych władz partyjnych. Ponoć odszedł w niedużym pokoju na parterze, przylegającym do sali jadalnej, a przed śmiercią ten stary komunista miał się wypowiadać i przyjąć sakramenty. Jak wspominałem, nie wiem, ile jest prawdy w tej legendzie, jednak z jej powodu prywatnie nazwaliśmy ten pokój „trupiarnią”.

Od sierpnia 1990 r. aż do końca mego pobytu w MSW, czyli 7 marca 1992 r. mieszkaliśmy w jednym domu. Razem jedliśmy śniadania i kolacje, czasem przyjmowaliśmy wspólnie gości, nie-raz do późnej nocy wiedliśmy długie Polaków rozmowy. Skoro już wspomniałem o gościach, to trzeba dodać, że przez Zawrat przesunął się cały korowód różnych, bardzo ciekawych postaci: od sędziwego gen. Józefa Kuropieski, po wielebnych księży Józefa Tischnera czy Józefa Życińskiego. Bywali też Jacek Kuroń, bp Alojzy Orszulik, profesorowie wszelakich specjalności, artyści, pisarze, dziennikarze, politycy różnych opcji. To we wspomnianej „trupiarni”, przy okazji omawiania założeń późniejszego Ośrodka Studiów Wschodnich, poznałem Marka Karpia – pierwszego dyrektora tegoż Ośrodka, który dziś nosi jego imię.

Od momentu objęcia urzędów każdy poranek zaczynaliśmy od spotkania w gabinecie ministra Kozłowskiego przy porannej kawie. Dyskutowaliśmy o aktualnych sprawach. Podsumowywaliśmy poprzedni dzień, omawialiśmy zadania na obecny, analizowaliśmy bieżącą sytuację, wymienialiśmy się informacjami, przemyśleniami. Skład osobowy tych spotkań był stały: minister, dwaj wiceministrowie, szef UOP i rzecznik prasowy ministra (Wojciech Wróblewski). W razie potrzeby, do tego grona dołączał Komendant Główny Policji, Komendant Straży Granicznej czy dyrektor któregoś departamentu. Zdarzało się, że na tych spotkaniach, mimo że miały one nieformalny charakter i nie były protokolowane, zapadały istotne

decyzje. Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się to dziwne. Przypuszczam, że podobnie wyglądały kolegia redakcyjne w „Tygodniku Powszechnym” i ten styl Krzysztof Kozłowski przeniósł na grunt MSW. Wszystkim nam to bardzo odpowiadało i myślę, że w tym właśnie gronie osób – zaprzyjaźnionych ze sobą, podobnie myślących, niekonkurujących z sobą, mających do siebie pełne zaufanie – ten styl pracy w pełni zdawał egzamin.

Na pierwsze tygodnie mego urzędowania przypadła mi niewdzięczna rola kierowania centralną komisją odwoławczą, która rozpatrywała odwołania od decyzji wojewódzkich komisji kwalifikacyjnych przeprowadzających weryfikację byłych funkcjonariuszy rozwiązanej z mocy ustawy Służby Bezpieczeństwa. Jako komisja znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Z jednej strony środowiska solidarnościowe naciskały, aby pozytywnie weryfikować jak najmniej byłych esbeków, najlepiej nie zweryfikować nikogo. Z drugiej strony mieliśmy świadomość, że bez funkcjonariuszy byłej SB nie zbudujemy służb specjalnych niepodległego państwa. Do struktur bezpieki wchodził przecież wywiad i kontrwywiad cywilny a nam byli potrzebni doświadczeni ludzie. W tym sporze o granice weryfikacji szczególną rolę odegrał Andrzej Milczanowski. Gdy chodziło o dobro i bezpieczeństwo państwa On, były więzień polityczny, ofiara represji z czasów PRL, potrafił odłożyć na bok swoje osobiste, bolesne doświadczenia i oprzeć się presji ze strony znacznej części swego środowiska politycznego. Walczył o każdą osobę, którą uważał za przydatną w nowych służbach. Wiedział, że wywiad czy kontrwywiad tworzy się latami, że potrzebne jest doświadczenie funkcjonariuszy, że takich służb nie można zbudować od zera. Wobec zweryfikowanych pracowników był lojalny, oni – podobnie, w znakomitej większości byli lojalni wobec Niego i państwa. No, może z jednym wyjątkiem, o którym później. W UOP Andrzeja tytułowano oficjalnie ministrem, nieformalnie mówiono o nim

Majster, co w środowisku funkcjonariuszy niewątpliwie wyrażało szacunek.

Andrzej Milczanowski był państwowcem w najbardziej dosłownym znaczeniu tego słowa. Państwo pojmował jako twór ponadpartyjny. Był bezwzględnie uczciwy, do tego miał charakter i potrafił być uparty. Niechętnie zmieniał zdanie. Podziwiałem Go za to. Podziwiałem tym bardziej, że opowiadał, jak wyglądało jego dzieciństwo i mogłem wyobrazić sobie, w jakim stopniu traumatyczne wydarzenia z tamtego okresu wpłynęły na niego w dojrzających latach. Ojciec Andrzeja był prokuratorem w Równem. Po 17 września 1939 r. NKWD aresztowało go i odtąd zniknął bez śladu. Andrzej miał wtedy niecałe cztery miesiące. Brak ojca i jego tragiczne losy zaciążyły na Nim na lata. Wzrastał więc w atmosferze nienawiści do komunizmu. Sam był więźniem politycznym PRL-u. Te fakty mogły uzasadniać jego organiczną niechęć do wschodniego reżimu, a w konsekwencji chęć dokonania rozliczeń z funkcjonariuszami dawnego ustroju. Nie cierpiał komunizmu i Związku Radzieckiego, ale w przeciwieństwie do wielu antykomunistów świeżej daty, nie pałał zemstą. Myślę, że ono jako takie było mu obce. A interes państwa przedkładał zawsze nad swoje osobiste sentymenty. To było zresztą typowe dla prawdziwych opozycjonistów, którzy zaznali peerelowskiego więzienia. Domaganie się gwałtownych rozliczeń, opcji zerowej w służbach państwa, natychmiastowej dogłębnej lustracji i dekomunizacji charakteryzowało raczej tych, którzy w czasach PRL-u starali się nie narazić władzy, którzy w dniu wprowadzenia stanu wojennego nie zostali internowani, ale spokojnie spali do południa albo jak pewien zapalony lustrator, który chwalił się, że w czasach komunistycznych w zaufanym gronie głosił śmiały pogląd, że Marszałek Piłsudski był wielkim Polakiem. Właściwie to nic nowego. Już Michel de Montaigne zauważył, że (...) *Rzezie po zwycięstwach są zwykle dziełem pospólstwa i oficerów*

*furgonu*¹. Używając tej metafory, trzeba powiedzieć, że Andrzej Milczanowski był zawsze rycerzem pierwszej linii, a żądnymi krwi i łupów oficerami furgonów pogardzał.

Był też przeciwnikiem lustracji. Podzielałem jego pogląd. Na lustrację nigdy nie ma dobrej pory. Na początku lat 90. XX w. zaszkodziłaby służbom, które miały chronić państwo. Rozpętanie wojny na teczki w czasie, gdy demokracja w Polsce jeszcze nie okrzepła, byłoby ze szkodą dla państwa i społeczeństwa. Zniszczyłaby tak potrzebne wówczas autorytety, niestety także autorytet Kościoła. Podzieliłaby społeczeństwo, które wtedy potrzebowało jedności. To nie był dobry czas na takie kroki. Andrzej Milczanowski słusznie uważał, że teraz, w wolnej Polsce, trzeba wszystkim, którzy chcą jej służyć, dać taką szansę. A tych, którzy w czasie PRL-u popełnili przestępstwa, niech ścigają prokuratura i sądy. I nie była to czcza deklaracja. Przed sądem postawiono wtedy kilku wysokich rangą oficerów dawnego MSW: generałów Mirosława Milewskiego, Władysława Ciastonia czy Zenona Płatka. To była filozofia tzw. grubej kreski Tadeusza Mazowieckiego, której wykonawcą był m.in. Andrzej Milczanowski.

W codziennym życiu Andrzej był miłym człowiekiem, życzliwie nastawionym do ludzi. Był miłośnikiem filozofii Nietzschego. Dyskutowaliśmy czasem o filozofii (tak, to był taki czas, kiedy szefostwo polskich służb potrafiło dyskutować o filozofii!). Nie ujawniał wtedy żadnych fascynacji buddyzmem, o których wspominają dziś niektórzy jego biografowie. Może to przyszło później? Wtedy raczej nie. Palił ogromne ilości papierosów, praktycznie zapalał jednego od drugiego. Gdy był szefem UOP nie pił w ogóle alkoholu. Ani kieliszka. My z Jurkiem Zimowskim lubiliśmy czasem wypić wino do kolacji, a gdy podejmowaliśmy gości, to zdarzało się, że spożywaliśmy mocne alkohole. Andrzej zawsze nam towarzyszył,

¹ M. de Montaigne, *Próby*, Wolne Lektury, <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/proby.pdf>, s. 399 [dostęp: 9.06.2025] – przyp. red.

sącząc tylko ciemną herbatę. Ponieważ w Zawracie używano wyłącznie herbat expressowych, wrzucał do szklanki od razu dwie albo trzy torebki.

Na uroczystości pogrzebowe do Miednoje pojechałem pociągiem specjalnym. Uparłem się na pociąg, gdyż zależało mi, aby w uroczystościach wzięła udział kompania honorowa Policji. Chciałem też zabrać cały wagon członków Rodziny Katyńskiej. Tylu ludzi nie zmieściłoby się do żadnego samolotu. Jechał z nami m.in. Krzysztof Kozłowski, już wtedy nie minister, ale senator, a także nowo mianowany biskup polowy Leszek Ślawoj Głódź, którego wtedy miałem okazję poznać. Podróż trwała wiele godzin, poznałem go więc dość dobrze. Na szczęście zaraz po wyjściu z pociągu nie musiałem składać żadnych wieńców ani wygłaszać przemówień. Reszta delegacji rządowej z ministrem spraw wewnętrznych Henrykiem Majewskim (następcą Krzysztofa Kozłowskiego) miała dotrzeć samolotem. Podobnie Andrzej Milczanowski, który zaplanował lot do Moskwy, by przy okazji złożyć oficjalną wizytę u szefa KGB na Łubiance. Trzeba pamiętać, że to było już po puczu moskiewskim, ZSRR się rozpadał, a Rosja Jelcyna próbowała być demokratyczną. W czasie gdy jechaliśmy pociągiem do Tweru, w Polsce zgłoszono votum nieufności dla rządu. W sejmie zaplanowano głosowanie tego votum i kierownictwo państwa pozostało w Warszawie. Minister Henryk Majewski, który w Miednoje miał objąć przewodnictwo delegacji, nie doleciał. Został w Polsce, a wraz z nim przygotowane przez gabinet ministra przemówienie, którego, jak znam Henia, wyuczył się już na pamięć. Tak to nieoczekiwanie zostałem przewodniczącym delegacji i w ostatniej chwili sam musiałem sobie napisać przemowę.

Z wizytą Andrzeja Milczanowskiego na Łubiance wiąże się ciekawa anegdota. Towarzyszący mu rzecznik prasowy MSW Wojciech Wróblewski, gdy znalazł się w gabinecie szefa KGB, postanowił mu coś ukraść. Bo to faktycznie rzecz oryginalna i niezwykła: buchnąć coś szefowi KGB i to w dodatku w jego gabinecie! I ten imperatyw

był tak silny, że rzeczywiście nie powstrzymał się i korzystając z nieuwagi gospodarza – rąbnął mu długopis! Nawet nie wiem, czy do dziś ma to osobliwe trofeum. Po oficjalnych rozmowach Andrzej wyjawiał szefowi KGB swą prywatną prośbę. Chodziło o ustalenie, gdzie znajduje się grób jego ojca. Obiecano to zrobić, ale oczywiście nic z tego nie wyszło.

Gdy ministrem spraw wewnętrznych został Antoni Macierewicz, zaprosił Andrzeja – ówczesnego szefa UOP – na rozmowę. Andrzej wrócił na Zawrat wściekły, a zarazem autentycznie zatroskany o los państwa. Nie chciał nic mówić, powiedział tylko: (...) *z tej mąki chleba nie będzie*. Oznajmił, że złożył dymisję. Jego miejsce zajął druh Macierewicza z harcerstwa a później z KOR-u Piotr Naimski. Po kilku dniach poszedłem śladem Andrzeja i także złożyłem dymisję, którą Macierewicz skwapliwie przyjął. Priorytetem nowego ministra było wytropienie agentów bezpieki w kierowniczych gremiach „Solidarności”, ustalenie sprawców zabójstwa Bohdana Piaseckiego, syna Bolesława, uprowadzonego przez nieznanych sprawców i zamordowanego w 1957 r., oraz wytropienie zabójców Edwarda Rydza-Śmigłego, bo zdaje się, że Macierewicz nie miał wątpliwości co do tego, że Śmigły został skrytobójczo zamordowany w Warszawie w 1941 r., po powrocie z emigracji. Nowy minister zdymisjonował też kilku dyrektorów Zarządów UOP, zastępując byłych oficerów SB innymi byłymi oficerami tejże służby. W ten sposób wyglądała „dezubekizacja” w wykonaniu Macierewicza. Tak naprawdę, prawdziwa „dezubekizacja” służb nastąpiła przy okazji weryfikacji, do której nie mogli stanąć funkcjonariusze powyżej 55 roku życia. Tak więc służby, niejako z automatu pozbyły się wszystkich, którzy służbę zaczęli przed 1956 r. w organach UB lub Informacji Wojskowej.

Wszystkie inne sprawy nie miały dla Macierewicza większego znaczenia. Najdelikatniej mówiąc, nie podzielaliśmy jego priorytetów. Zupełnie obca była też nam jego spiskowa, nieco paranoidalna

wizja dziejów, której późniejsze mutacje poznała cała Polska po katastrofie smoleńskiej.

Już wcześniej szykowałem się do objęcia stanowiska ambasadora w Wilnie. Po odejściu z MSW wyjechałem na placówkę pod koniec maja 1992 r. Wkrótce po moim wyjeździe, po słynnej „nocy teczek” upadł rząd Jana Olszewskiego. W nowym rządzie Andrzej Milczanowski został ministrem spraw wewnętrznych, a jego miejsce w UOP zajął Jerzy Konieczny.

Byliśmy z Andrzejem przez cały czas w kontakcie. Gdy składał oficjalną wizytę na Litwie, mieliśmy okazję spędzić razem kilka dni. Z kolei gdy ja przyjeżdżałem do Polski, to zatrzymywałem się na Zawrat, gdzie jak za dawnych czasów, prowadziliśmy z Andrzejem i Jurkiem Zimowskim nocne Polaków rozmowy. W czasie pierwszego pobytu w Warszawie, ja pojechałem na Zawrat, a mój służbowy samochód trafił do UOP na przegląd. Okazało się, że w aucie był podsłuch. Do dziś nie wiem, kto go zainstalował. Litwini, czy może Rosjanie? A może jeszcze ktoś inny, kto zza oceanu chciał mieć kontrolę nad tym, co naprawdę się dzieje w tym post-sowieckim tyglu? Dość powiedzieć, że kolejne przeglądy już żadnego podsłuchu nie wykryły.

Z Wilna śledziłem aferę Olina. Z przerażeniem wysłuchałem transmisji z sejmiku, gdzie Andrzej Milczanowski oskarżył ówczesnego premiera Józefa Oleksego o szpiegostwo. Z jednej strony miałem pełne zaufanie do Andrzeja, z drugiej zaś cała sprawa wydała mi się zupełnie niewiarygodna. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Centrala MSZ milczała jak zakłeta. W Wilnie zarówno Litwini, jak i cały korpus dyplomatyczny dopytywali się, co tak naprawdę zaszło w naszym kraju. Nie znałem odpowiedzi na te pytania. Do Polski pojechałem dopiero po upadku rządu Oleksego, gdy ministrem po Milczanowskim był już Jerzy Konieczny, a szefem UOP Gromosław Czempiński. Na stanowisku wiceministra pozostał tylko Jerzy Zimowski, który powrócił do MSW z Milczanowskim po „nocy

teczek”. Mimo upływu dni wszyscy byli jeszcze w szoku i nikt nie był pewien, jak było naprawdę. Nie wiem, czy do dziś ktoś to wie. Z Andrzejem już się nie zobaczyłem. Po dymisji wyjechał do Szczecina. Dwóch rzeczy jestem pewien. Andrzej Milczanowski był przekonany, że Oleksy był szpiegiem. Był zbyt uczciwy i zbyt oddany państwu, by motać taką intrygę. Z drugiej strony, jestem pewien, że Józef Oleksy na pewno szpiegiem nie był. A zatem co się stało? Czy to była udana prowokacja rosyjskich służb, które ograły nasz wywiad? A może niektórzy oficerowie polskiego wywiadu zmontowali tę aferę i sprytnie podpuścili Andrzeja Milczanowskiego, który miał do nich zaufanie? A może było jeszcze inaczej? Może ci oficerowie coś podejrzewali, ale spartolili robotę i ani nie potwierdzili swoich przypuszczeń, ani ich nie wykluczyli i pozostali przy swojej wierze, do której przekonali Andrzeja? A w ogóle, to dlaczego rosyjskimi szpiegami w Polsce zajmował się wywiad a nie kontrwywiad? Może kiedyś się tego dowiemy. A może nigdy. Kiedy po kilku latach spotkałem się z Andrzejem, nie chciał mówić na ten temat. Wiem jednak, że do końca był przekonany o winie Oleksego. Gdy po latach Lech Wałęsa przeprosił byłego premiera, Milczanowski bardzo się o to na niego pogniewał.

Po wycofaniu się z życia publicznego Andrzej Milczanowski wrócił do Szczecina. Został wpisany się na listę notariuszy, pomagał żonie w prowadzeniu kancelarii notarialnej. Później wiódł żywot emeryta. Poważnie chorował. Spotkaliśmy się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat zaledwie kilka razy, zawsze w Warszawie.

Jedno z tych spotkań było szczególne. Gdy Trybunał Konstytucyjny w 2009 r. rozpoznawał skargę na pierwszą platformianą ustawę „dezubekizacyjną”, krzywdzącą funkcjonariuszy, którzy przeszli weryfikację i służyli III RP, na znak solidarności z nimi na rozprawę przyszli m.in. Krzysztof Kozłowski i Andrzej Milczanowski. Jako poseł byłem przed Trybunałem przedstawicielem wnioskodawców.

Obecność Krzysztofa i Andrzeja była pięknym aktem bezsilnej solidarności i lojalności dawnych przełożonych wobec podwładnych.

Czasem dzwoniliśmy do siebie z życzeniami na święta. W jednej z ostatnich rozmów Andrzej ni stąd ni z owąd zapytał mnie, czy palę. Nigdy nie paliłem papierosów, o czym wiedział, bo przecież przez dwa lata mieszkaliśmy razem. Lubię jednak czasem zapalić cygaro. Gdy mu o tym powiedziałem, zareagował – *Janek, nie pal! Rzuć to! Ja paliłem całe życie i teraz mam raka płuc.* Tak dowiedziałem się o jego chorobie.

O ile wiem, zmarł nie na raka płuc, ale na serce. Wiadomość o Jego śmierci, zanim podały ją media, lotem błyskawicy obiegła jego przyjaciół i byłych współpracowników. Podawano ją sobie sms-ami, mejłami. Dla wszystkich była poruszająca. Pogrzeb odbył się w Szczecinie w wąskim gronie rodziny.

Na mszy za spokój duszy Andrzeja w Katedrze Polowej w Warszawie był tłum ludzi. Obecni byli aktualni szefowie MSW i służb, przybyło też wielu Jego współpracowników i podwładnych z lat 90. Wszyscy chcieli uczcić Jego pamięć. Tę pamięć, która ich połączyła bez względu na to, skąd w 1990 r. przyszli do nowego MSW czy UOP.

Z pierwszego niekomunistycznego kierownictwa MSW przed Andrzejem Milczanowskim odeszli Jerzy Zimowski, Krzysztof Kozłowski, Jerzy Konieczny. Niedługo wszyscy znajdziemy się po tamtej stronie. Nie wiem, czy tam jest kawa i czy będzie nam dane spotkać się znów razem przy stoliku u ministra Kozłowskiego, by z troską wspólnie patrzeć z góry na Polskę, na której losy nie będziemy mieć już żadnego wpływu, skazani na bezsilne śledzenie tego, co się w niej wyrabia. Może na tym właśnie będzie polegał nasz czyściec?

Marian Zacharski

Wspomnienie
o Andrzeju Milczanowskim

*Wspaniały szef, wielki humanista o rzadko
spotykanej inteligencji, a z czasem mój wielki przyjaciel*

Moje pierwsze spotkanie z Andrzejem Milczanowskim odbyło się z dosyć nietypowego powodu i taki też miało przebieg.

Wraz ze zmianami politycznymi dokonującymi się w roku 1989 prowadzono nabór nowych kadr. Nie ominęło to również polskiego wywiadu cywilnego, w którym byłem oficerem zatrudnionym na tzw. etacie zewnętrznym, w Przedsiębiorstwie Eksportu Wewnętrznego PEWEX. Jako realista spodziewałem się, że dotknie mnie fala zwolnień starej kadry. Byłem w stałym kontakcie z ówczesnym szefem wywiadu, wówczas pułkownikiem Henrykiem Jasikiem. Otrzymałem od niego informację, że decyzją ministra Milczanowskiego jestem na liście do zwolnienia ze służby. Nie byłem zaskoczony, ale wewnętrznie odczuwałem pewien żal. Ponieważ jednak wywiad jest i musi być zdyscyplinowaną służbą pracującą niekonwencjonalnymi metodami, to przyjąłem tę informację do wiadomości. Jak to w życiu: zawsze coś się kończy, a inne się zaczyna. Jednak mój szef, płk Jasik nie odpuszczał tej sprawy. Dyskutował z Ministrem na temat mojego zwolnienia. W moim przypadku była to trudna decyzja, bo w okresie tzw. Polski minionej miałem wiele osiągnąć w pracy operacyjnej na terenie naszego nowego sojusznika, Stanów Zjednoczonych Ameryki. Moja działalność, z punktu widzenia uzysku w zdobywaniu tajnej dokumentacji, była zaliczana do bardzo udanych. W każdym razie tak ocenił to sąd, który skazał

mnie na dożywocie, a sędzia nie omieszkiał wspomnieć, że NIE-STETY¹, mimo całonocnych poszukiwań możliwości prawnych, nie mógł wydać wyroku o karze śmierci, bo nasze kraje nie były w stanie wojny. W amerykańskim więzieniu odsiedziałem cztery lata bez siedemnastu dni. Wróciłem do kraju w wyniku wynegocjowanej, przy wielkim udziale szefa wywiadu NRD Markusa Wolfa i znanego wschodnioniemieckiego mecenasa od tego rodzaju spraw Wolfganga Vogla, dużej wymiany na moście Glienicke w Berlinie.

Henryk Jasik przekonywał Ministra, że zwalnianie wszystkich nie jest dobrym pomysłem. Nawet przy najlepszych chęciach nie da się stworzyć wywiadu w ciągu kilku czy kilkunastu tygodni z udziałem nowego zaciągu choćby najtęższych umysłów. Innym argumentem przeciwko mojemu wydaleniu ze służby było to, jak ten krok zostanie odebrany przez pozostałych oficerów, którzy zaczną zastanawiać się, czy podejmować ryzyko dla zdobywania tajnych informacji w sytuacji, kiedy kolejne polityczne zmiany w kraju mogą przedwcześnie zakończyć ich kariery. W wywiadzie się nie pracuje, w wywiadzie się SŁUŻY POLSCE.

Minister Milczanowski i płk Jasik wspierany przez przyjaciela Ministra, Jerzego Zimowskiego, osiągnęli konsensus prowadzący się do tego, że Pan Minister podejmie ostateczną decyzję po osobistej rozmowie ze mną. Zostałem zaproszony na godzinę 20.00. Było to spotkanie w cztery oczy w gabinecie Ministra. Na początku rozmawialiśmy szczegółowo o mojej pracy w okresie pobytu w USA. Opowiedziałem o kilku istotnych przedsięwzięciach, które udało mi się tam przeprowadzić. Wspomniałem o innych, które dobrze rokowały, ale nie mogły zostać dokończone ze względu na moje aresztowanie. Wyniki działalności w Stanach spuentowałem krótko: jestem dumny z tego, co udało mi się osiągnąć i bez względu na ewentualne negatywne konsekwencje dla mnie nie uważam, że

¹ Wyróżnienia w tekście pochodzą od autora – dop. red.

powinienem za to kogoś przeproszać. Nie złamałem zasady wierności wobec kraju mojego i moich przodków.

Potem rozmawialiśmy o bieżącej pracy, którą wykonywałem. Minister zapytał też mnie o Rodziców. Poinformowałem, że mój ojciec wywodził się z Warszawy, walczył w powstaniu w 1944 r. w Szarych Szeregach, a po zakończeniu konfliktu miał wiele problemów z UB. Wspomniałem, że w połowie mojej odsiadki otrzymałem informację o jego śmierci. Ciężko to przeżyłem. Reakcją Amerykanów było przybycie przedstawicieli FBI z pytaniem czy chciałbym, czy jestem gotowy z nimi szczerze porozmawiać, czytaj: zdradzić swój kraj. Każda tego typu próba była przeze mnie zdecydowanie odrzucana.

Od tego momentu atmosfera naszej rozmowy stała się bardzo przyjazna. Minister pytał mnie o przebieg wymiany, kiedy się o niej dowiedziałem, jak wyglądał przerzut do Berlina etc. Po moich wyjaśnieniach zaczęliśmy wymieniać się doświadczeniami „gdzie się lepiej siedziało”. Minister Milczanowski też miał za sobą niełatwe lata spędzone na ławach oskarżonych i w więzieniach, tyle że polskich. Podobnie jak ja, siedział za Polskę.

Po około dwóch i pół godzinie Minister wstał, uściśnął mi dłoń i życzył sukcesów w dalszej pracy. W tym momencie nie miałem pojęcia, czy mówił o mojej oficjalnej, czy nieoficjalnej, a więc wywiadowczej pracy.

Po przejściu dwóch długich korytarzy dotarłem do gabinetu szefa wywiadu. Henryk Jasik czekał na mnie. Zanim zdążyłem streścić przebieg wizyty otrzymałem informację, że decyzją Ministra zostaję w służbie. Rano płk Jasik miał dostarczyć moją teczkę personalną, w której nota bene była już decyzja o moim zwolnieniu. Została unieważniona. Nie ukrywam, że bardzo mnie to ucieszyło.

W tamtym momencie nawet przez chwilę nie przeszła mi przez głowę myśl, że właśnie rozmawiałem ze swoim przyszłym, jedynym z niewielu, WIELKICH, szczerze oddanych przyjaciół. Nasze

drogi nigdy się nie rozeszły. Wypełniałem szereg cichych misji dla Ministra, organizowałem spotkania w moim domu z ludźmi, którzy też byli wielkimi patriotami, ale pełnili funkcje po „drugiej stronie barykady”. Owocowało to fascynującymi rozmowami, wymianami poglądów, które ostatecznie zbliżały rozmówców do wzajemnej oceny według kryteriów osiągalnych w tym momencie burzliwej historii naszego kraju. Nie będę wymieniał nazwisk, ale Minister dziękował mi za tego typu nietuzinkowe spotkania, które pozwoliły na nabycie wzajemnego zrozumienia i szacunku przez każdą ze stron. Przez lata byłem dla Pana Ministra swego rodzaju pośrednikiem w delikatnych sprawach.

Po zmianach ustrojowych przyjechała do Polski duża delegacja amerykańskich służb. Był w tej grupie wybitny oficer CIA o polskich korzeniach, John Palevich. Miał na swoim koncie 17 kluczowych werbunków, niestety Polaków. To właśnie on, jako jeden z nielicznych, dążył do nawiązania bliskich relacji z polskimi służbami.

Rozmowy toczyły się w ośrodku wywiadu w Magdalence. Zostałem poproszony przez płk. Jasika o przybycie tam. Jak się okazało, było to na życzenie Amerykanów. Po dotarciu na miejsce w trakcie witania się zdałem sobie sprawę, że z Palevichem miałem okazję się już spotkać. Należał do licznej grupy grupy oficerów rozmaitych służb, którzy lecieli z New Jersey do Berlina Zachodniego na wymianę agentów w 1986 r.

Pan Minister był zawsze po mojej stronie. Starał się pomagać mi w różnych delikatnych sytuacjach, np. kiedy na moment zatrzymała mnie jedna z zachodnich służb. Ponieważ otwarcie stwierdzili, że uczynili to na wskazanie Amerykanów, natychmiast po wylądowaniu w Polsce pojechałem do Ministra. Opisałem przebieg tego incydentu. W swojej reakcji nie ociagał się ani przez moment. Zaprosił szefa placówki CIA w Polsce i zażądał natychmiastowego wstrzymania tego typu wytycznych dla innych służb w stosunku do mojej osoby. Amerykanie doskonale wiedzieli, że Minister ani przez

moment nie żartuje w obronie swoich oficerów. Podjęli stosowne kroki, abym przestał być nękanym przez służby krajów, wobec których nigdy nie wykonałem jakichkolwiek wrogich kroków czy gestów. Nota bene wspomniany incydent postanowiłem wykorzystać do nawiązania współpracy z tą służbą. Przez długi czas była to bardzo owocna wymiana informacji. Potwierdzeniem tego była oficjalna wizyta złożona w tym kraju przez Andrzeja Milczanowskiego, któremu towarzyszyłem. Odbiliśmy ciekawe rozmowy, nie tylko oficjalne. Również prywatny czas spędziliśmy wspólnie, ugruntowując naszą przyjaźń. Pan Minister był wielkim, wręcz entuzjastycznym miłośnikiem twórczości Reinerja Marii Rilkego. Poprosił więc o możliwość odwiedzenia jego grobu w Raron. Prośba została spełniona przez gospodarzy. Przy grobie była mała ławeczka, na której usiedliśmy. Minister z pamięci cytował istotne, duże fragmenty twórczości tego wybitnego autora. Czynił to zarówno w języku polskim, jak i w oryginalnym, czyli niemieckim. Potem zaczęliśmy rozmawiać o sprawach bardzo prywatnych. Przyjąłem to za wyraz wielkiego zaufania. Siedzieliśmy na tej ławeczce długo, po czym wstąpiliśmy do małego sklepiku w świątyni, w którym Minister kupił kilka pamiątek związanych z Rilke. Pani tam pracująca, pewnie zaintrygowana naszym długim pobytem przy grobie, zapytała skąd jesteśmy. Odpowiedziałem, że z Polski. W tym momencie na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech i dodała, że przez ponad 20 lat kapłanem był tutaj Polak. Można by rzec, gdzie nas nie ma lub nie było.

Wkrótce pojawiła się sprawa, która zamiast zostać wyjaśniona do końca, stała się powodem rezygnacji Ministra oraz odejścia kilku oficerów wywiadu, w tym i mnie. Miałem dosyć tych walk i postanowiłem opuścić kraj urodzenia.

Jedno się nigdy nie zmieniło. Moja przyjacielska relacja z Nim. Byliśmy w stałym, można powiedzieć codziennym, kontakcie. Od czasu do czasu spotykaliśmy się w Berlinie. Co najmniej dwa razy odwiedził mnie w moim nowym kraju. Dwa albo trzy razy wjechałem

wynajętym w Berlinie samochodem do Polski, aby Go odwiedzić. Był to czas, kiedy ówczesnie rządzący założyli na mnie „wnyki” na granicy. Wraz z mijającymi latami martwiliśmy się wzajemnie swoim stanem zdrowia. Pan Minister dzielnie walczył z dolegliwościami. Na mnie spadła jak grom z jasnego nieba konieczność operacji serca. Mówił mi, że modlił się za mnie i jest przekonany, że wszystko skończy się dobrze. Znam doskonale nastawienie Ministra do spraw duchowych. Był osobą głęboko wierzącą, ale jednocześnie oddzielał sprawy wiary od instytucji Kościoła. Kiedy stan Jego zdrowia pogarszał się, starałem się być z Nim w nieomal stałym kontakcie. Nie wyobrażałem sobie Jego nagłego odejścia. Wiedział, że nieustannie towarzyszę Mu w swoich myślach. Nasza ostatnia telefoniczna rozmowa odbyła się wieczorem, kiedy czekał na decyzję w sprawie skomplikowanej operacji. Powiedział mi, że ze względu na ogromne ryzyko, lekarze czekają na przybycie Jego córki, nota bene świetnej i bardzo szanowanej lekarki, i na jej decyzję. Po pogrzebie Pani Anna Milczanowska, córka Ministra, powiedziała mojej żonie i mi, że poinformowała lekarzy, iż Rodzina nie będzie miała pretensji w sytuacji ewentualnego zgonu w trakcie lub po operacji. Podjęli się tego trudnego zadania. Mój wielki Przyjaciel, Andrzej Milczanowski zmarł jeszcze tej samej nocy. Ocenia się, że miało to miejsce około godziny 2:30.

Kiedy rano otrzymałem telefon od Pani Anny Milczanowskiej, zanim zdążyła mi przekazać tragiczną wiadomość, czułem, a raczej byłem pewny, że stało się coś strasznego. Jej słowa to potwierdziły. Powiedziała mi, że jestem pierwszą osobą, którą Rodzina powiadomiła o tej niepowetowanej stracie.

Muszę przyznać, że do dziś jest mi trudno pogodzić się z odejściem tego Wielkiego Polaka, a przy okazji mojego Przyjaciela.

Jeśli ktoś mówi, że nie ma ludzi niezastąpionych, to na pewno nie miał okazji spotkać w swoim życiu Pana Ministra Andrzeja Milczanowskiego.

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI.

Andrzej Milczanowski

portrety i dokumenty



Fotografie sygnalityczne wykonane po aresztowaniu osób zatrzymanych na terenie Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, 16 grudnia 1981 r., przedstawiające przywódców strajku – liderów MKS.

popr. daty
Milczanowski

Fot. 153–155

Andrzej Milczanowski – skazany na 5 lat pozbawienia wolności.



154



Fotografie sygnalityczne Andrzeja Milczanowskiego wykonane po zatrzymaniu przywódców strajku w Stoczni Szczecińskiej. Grudzień 1981 r.

155



Andrzej Milczanowski



Warszawa, 1990 - 05 - 11

PREZES RADY MINISTRÓW

Pan

Andrzej MILCZANOWSKI

Na wniosek Ministra Spraw Wewnętrznych, po zasięgnięciu opinii Politycznego Komitetu Doradczego przy Ministrze Spraw Wewnętrznych, powołuję Pana z dniem 11 maja 1990 r. na stanowisko Zastępcy Szefa Urzędu Ochrony Państwa.

Pieczęć okrągła tłoczona z godłem i napisem w otoku Prezes Rady Ministrów.

Akt powołania Andrzeja Milczanowskiego na stanowisko szefa Urzędu Ochrony Państwa. Maj 1990 r.





Odprawa pożegnalna Andrzeja Milczanowskiego po odejściu ze stanowiska szefa Urzędu Ochrony Państwa. Styczeń 1992 r.





Odprawa kadry kierowniczej Urzędu Ochrony Państwa
z prezydentem Lechem Wałęsą. Czerwiec 1993 r.





Odprawa ministra spraw wewnętrznych Andrzeja
Milczanowskiego z odchodzącym ze stanowiska szefa
Urzędu Ochrony Państwa Jerzym Koniecznym
i zastępującym go Gromosławem Czempińskim.
Grudzień 1993 r.







Uroczystości z okazji 10-lecia Urzędu Ochrony Państwa.
Od lewej Szefowie UOP: Gromosław Czempiński,
Andrzej Kapkowski, Andrzej Milczanowski, Zbigniew
Nowek, Krzysztof Kozłowski, Jerzy Nóżka i Jerzy Ko-
niecny. Maj 2000 r.



AGEN

BEZPIECZEŃSTWA





NCJA

WEWNĘTRZNEGO



Spotkanie założycielskie fundacji Pomocy Rodzinom Funkcjonariuszy i Pracowników UOP i ABW (PROFiP).
Czerwiec 2010 r.

ENCJA
IA WEWNĘTRZNEGO





Uroczystości z okazji Święta Konstytucji 3 Maja
w siedzibie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.
Wręczenie Odznak Honorowych im. gen. Stefana
Roweckiego „Grota” m.in. bratanicy Generała
prof. Krystynie Roweckiej-Trzebieckiej. Maj 2011 r.





Andrzej Milczanowski w swoim rodzinnym domu w Szczecinie udziela wywiadu w ramach projektu COS ABW „Historia mówiona służb”. Maj 2013 r.





Andrzej Milczanowski w swoim rodzinnym domu w Szczecinie udziela wywiadu w ramach projektu COS ABW „Historia mówiona służb”. Maj 2013 r.





Andrzej Milczanowski w swoim rodzinnym domu w Szczecinie udziela wywiadu w ramach projektu COS ABW „Historia mówiona służb”. Maj 2013 r.





Andrzej Milczanowski w swoim rodzinnym domu w Szczecinie udziela wywiadu w ramach projektu COS ABW „Historia mówiona służb”. Maj 2013 r.





Andrzej Milczanowski gościem honorowym
konferencji „Kontrwywiad niepodległej Rzeczypospolitej”.
COS ABW, listopad 2014 r.





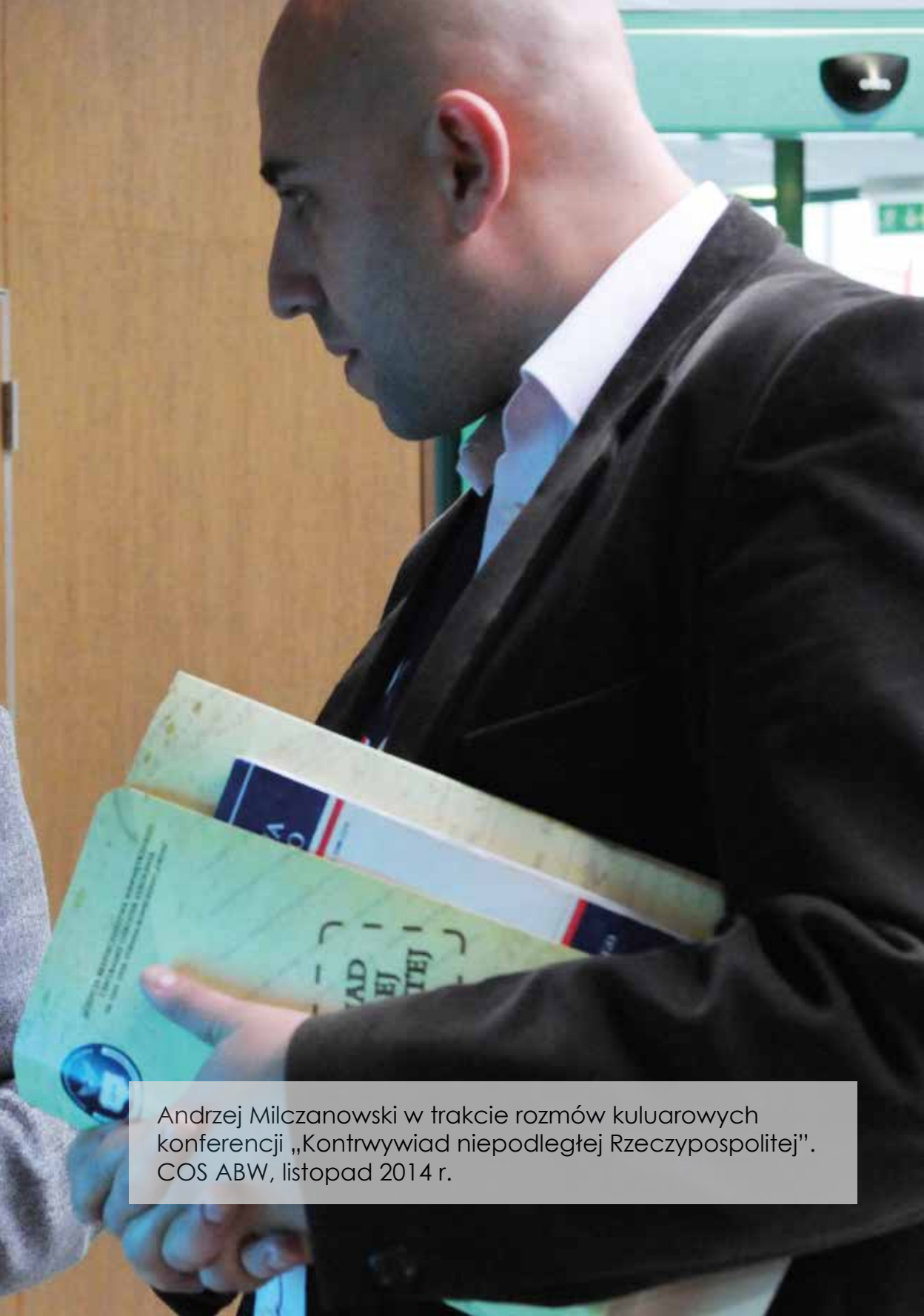
Andrzej Milczanowski gościem honorowym konferencji „Kontrwywiad niepodległej Rzeczypospolitej”. COS ABW, listopad 2014 r.





Andrzej Milczanowski gościem honorowym konferencji „Kontrwywiad niepodległej Rzeczypospolitej”. COS ABW, listopad 2014 r.





Andrzej Milczanowski w trakcie rozmów kulturalnych konferencji „Kontrwywiad niepodległej Rzeczypospolitej”. COS ABW, listopad 2014 r.

DER SZKOLENIA
STEFANA ROWECKIEGO „GROTA”

POLSKA





Andrzej Milczanowski w towarzystwie byłych Szefów
Urzędu Ochrony Państwa: Jerzego Koniecznego
i Andrzeja Kapkowskiego podczas konferencji
„Kontrwywiad niepodległej Rzeczypospolitej”.
COS ABW, listopad 2014 r.



WYJŚCIE
EWAKUACYJNE



Andrzej Milczanowski i Marian Zacharski na konferencji „Kontrwywiad niepodległej Rzeczypospolitej”.
COS ABW, listopad 2014 r.





Marian Zacharski, Zbigniew Nowek i Andrzej Milczanowski na konferencji „Kontrwywiad niepodległej Rzeczypospolitej”. COS ABW, listopad 2014 r.

JAZZ WZBOGACA MNIE WEWNĘTRZNIE

**Z Andrzejem Milczanowskim, ministrem spraw wewnętrznych
rozmawia — jak pianista z pianistą —
Krzysztof Karpiński, prezes sądu wojewódzkiego w Radomiu.**



foto Krzysztof Karpiński

Minęły czasy kiedy jazz, rugby i coca cola były zabronione, a minister kultury i sztuki mówił o grotesce dodekafonistów, pesymizmie Szymanowskiego oraz snobistycznym kulturowaniu dysharmonicznego jazzu. Dzisiaj Andrzej Milczanowski ślega w wolnych chwilach po nagraniu muzyki jazzowej.

— Czy pan chętnie rozmawia o muzyce?

— Wolę jej słuchać, chociaż lubię wymieniać opinie i dzielić się uwagami.

— Kiedy po raz pierwszy zetknął się pan z jazzem?

— Przed wojną mieszkaliśmy we Lwowie. W 1945 r. moja rodzina przyjechała do Gliwic. W domu mieliśmy radio Pionier. Chyba ok. 1955 r. — miałem 16 lat — w radiowej audycji „Music USA” nadawanej z Waszyngtonu usłyszałem Armstronga, Ellingtona, Goodmana i Parkera. Wtedy też zacząłem się interesować tą „dziwną, zakazaną” muzyką.

— Czy gra pan na jakimś instrumencie?

— Od siódmego do szesnastego roku

życia pobierałem prywatne lekcje gry na pianinie. Pod wpływem „Voice of America” próbowałem grać muzykę jazzową. W szkole średniej namówiłem kolegów z klasy i muzykowaliśmy u mnie w domu. Ponieważ nasze gliwickie mieszkanie było bardzo małe, moja rodzina nie zawsze była z tego zadowolona. Potem na początku lat 60. kiedy studiowałem na Wydziale Prawa Uniwersytetu Poznańskiego, słuchanie jazzu było bardzo modne. Urządzaliśmy wieczorki w świetlicy akademickiej, podczas których czasem grałem na pianinie znane standardy.

— Czy pana zainteresowania muzyczne wynikają z tradycji rodzinnych?

— Być może. Mój wuj był skrzypkiem

w Filharmonii Śląskiej w Katowicach i często zabierał na koncerty mnie i moją siostrę, która również uczyła się gry na pianinie. Z kolei mój krewny Tadeusz Szulc był koncertmistrzem Filharmonii i Opery Poznańskiej. To bardzo uzdolniony skrzypek. Wygrał nawet konkurs w Berlinie.

— A czy pan lubi muzykę poważną?

— Tak, Bacha, Beethovena i Mozarta. Kiedy mieszkalem w Szczecinie, chodziliśmy z córką systematycznie na koncerty do Filharmonii. Zaczęliśmy gdy Anna miała osiem lat. Ona w dalszym ciągu wierna jest swojej pasji, a ja już nie mam czasu na muzykę poważną.

— Jakiego jazzu najczęściej pan słucha?

— Moje upodobania skupiają się wokół pianistów jazzowych. Uwielbiam Art'a Tatum'a i Errolla Garnera, ale z przyjemnością słucham również Oscara Petersona, Theloniousa Monka, Earla Hinesa i Billa Evansa.

— Gdzie pan zaopatruje się w nagrania? Czy ministerialna pensja wystarcza na jazzowe hobby?

— Płyty kompaktowe kupuję w sklepie Helicon przy ulicy Freta. Mam kilkadziesiąt pozycji. Nie ograniczam się do pianistów. Zbieram także nagrania takich znakomitości jak Miles Davis, Roy Eldridge i Dizzy Gillespie, których uważam za największych trębaczy. Wydaje dużo pieniędzy na płyty, ale jestem w niezłej sytuacji finansowej. Moja żona jest notariuszem i dobrze zarabia. Córka jest lekarzem i osobą niezależną materialnie.

— Którego z pianistów ceni pan najbardziej?

— Jestem fanem muzyki jazzowej i trudno mi oceniać profesjonalistów grających na najwyższym poziomie. Mogę mówić tylko o moich upodobaniach.

Kocham Tatum i uwielbiam Gamera. Ten ostatni wkłada najwięcej serca w grę. Z polskich pianistów światową klasę reprezentuje Makowicz. Wolę słuchać pianistów solo lub w trio. Być może gra zespołowa dostarcza większych wrażeń, ale wtedy pianista schodzi na drugi plan. Oczywiście nie jest to zasada. Mam na przykład płytę Tatum z Eldridge'em i chociaż obydwaj są wielkimi indywidualnościami, ich muzyka współbrzmi doskonale.

— Po upadku rządu Krzysztofa Bieleckiego odszedł pan z Urzędu Ochrony Państwa i przez cztery miesiące nigdzie nie pracował. Czy spędzał pan czas na słuchaniu jazzu?

— Dokładnie byłem bezrobotny cztery miesiące i cztery dni. Wróciłem do Szczecina. Złożyłem podanie do Ministra Sprawiedliwości o mianowanie notariuszem i przygotowywałem się do nowego zawodu. Czytałem akty prawne. Miałem jednak dużo wolnego czasu i często sięgałem po nagrania z moją ulubioną muzyką. Także dzisiaj, niezależnie o której godzinie kończę pracę — zdarza się, że i po północy — słucham jazzu. Codziennie wysłuchuję co najmniej jednej płyty.

Często siadam do pianina. Muzyka i gra są dla mnie najlepszą formą relaksu po ciężkiej, wyczerpującej pracy. Mogę nawet powiedzieć, że jazz jest jedną z moich największych przyjemności. Daje mi energię i „ładuje życiowe akumulatory”.

— Czy bywa pan na koncertach jazzowych?

— Niestety, charakter mojej pracy uniemożliwia mi regularne odwiedzanie sal koncertowych. Kiedy mieszkalem w Szczecinie „zaliczyłem” big-bandu Woody Hermana, zespół Zbigniewa Namysłowskiego z Deborą Brown, a także występ Makowicza. W ubiegłym roku zamierzałem pójść na koncert Chicka Corei, ale nie udało mi się zdobyć biletu.

— Czym jest dla pana muzyka jazzowa i jaką rolę odgrywa w pańskim życiu?

— Jest to melodia, nastrój, a przede wszystkim rytm, który jest wartością samą w sobie. Uwielbiam słuchać tej muzyki gdy nie ma nikogo w domu. Siadam w wygodnym fotelu i nastawiam ulubioną płytę. Jestem sam, ale dzięki niej nie czuję się samotny. Jazz wzbogaca mnie wewnętrznie. Odnajduje w nim

intelektualną refleksję, uczucie i bezinteresowność.

— Wiem, że nie zawsze mógł pan słuchać muzyki jazzowej...

— Tak, kiedy przebywałem w więzieniu, od grudnia 1981 r. do kwietnia 1984 r. Nie byłem jednak całkowicie odizolowany od muzyki. Na początku siedziałem w Koronowie i każdego ranka z konieczności słuchałem dziarskich piosenek żołnierskich, między innymi w wykonaniu Maryli Rodowicz. Później radiowceł obsługiwał więzień, który musiał być zafascynowany Carlosem Santaną, ponieważ puszczał go bez opamiętania. Ale ten rodzaj muzyki odpowiadał moim zainteresowaniom.

W Potulicach nadawano muzykę poważną. Pamiętam Dworzaka i jego „Tańce słowiańskie”. Takie są moje reminiscencje muzyczne z zakładów karnych.

— Czy ma pan inne hobby poza jazzem?

— Interesuję się filozofią. Zajmuje mnie buddyzm, a przede wszystkim zen, którego jednak nauczyć się nie sposób. Wydaje mi się, że pewne progi świadomości — bliskie ludzkiej Wschodu — są nie do przekroczenia dla Europejczyka. Często sięgam również po dzieła Nietzschego. Identyfikuję się z jego wieloma ideami i przemyśleniami. Sądję, że ataki i błędne oceny filozofii Nietzschego wpływają z braku dostatecznej znajomości jego twórczości. Wiele osób na podstawie tylko zasłyszanych, często nie sprawdzonych ocen czuje się upoważnionych do wypowiadania sądów ex cathedra.

— Czy istnieją odniesienia między pańskimi zainteresowaniami filozofią Nietzschego a słabością do jazzu?

— Oczywiście. To szczęśliwy przypadek, że w wieku osiemnastu lat mogłem przeczytać „Narodziny tragedii”, a nieco wcześniej usłyszeć radiową audycję „Music USA”. Mądrość zawarta w dziełach filozoficznych i przeżycia związane z muzyką jazzową ukształtowały moją osobowość i moje widzenie świata.

— Czy na przełomie lat 50. i 60. słuchał pan jazzu w poznańskich klubach, czy wiedział pan co będzie robił w przyszłości?

— Nie. Na pracę w prokuraturze w Szczecinie zdecydowałem się dopiero po skończeniu uczelni. W czasie studiów bardziej interesował mnie jazz i koncerty

Jerzego Miliana niż przyszłość zawodowa.

— W Polsce bardzo rozpowszechnione jest nielegalne wydawanie kasel. Możliwości ściągania i karanie piratów są obecnie ograniczone. Czy do czasu uchwalenia nowego prawa autorskiego policja może podjąć walkę z tą patologią?

— Zarówno w kategoriach prawnych jak i moralnych piractwo jest naganne w najwyższym stopniu. Skarb państwa traci z tego tytułu ogromne kwoty i w sposób oczywisty naruszane są prawa autorskie. Policja ma pewne możliwości, ale jest to wielce utrudnione, ponieważ do ściągania tego rodzaju przestępstw nie ma odpowiednio przygotowanych kadr. W dalszym ciągu obowiązuje „Prawo autorskie” z 1952 r., które nie jest przystosowane do współczesnych warunków.

Projekt nowej ustawy znajduje się już w Sejmie i miejmy nadzieję, że będzie ona uchwalona w najbliższym czasie.

— Przedstawiciele niektórych partii uważają, że kultura w szerokim rozumieniu powinna być sponsorowana przez prywatny kapitał. Tym, którzy chcą przeznaczyć część swoich zysków na rozwój kultury, należy zapewnić korzystne ulgi podatkowe. Czy jako członek rządu nie uważa pan, że podstawą finansowania kultury, w tym jazzu, powinien być jednak budżet państwa?

— Polityka kulturalna państwa a różne przejawy życia kulturalnego to dwie odmienne sprawy. W komercjalizacji też należy dopatrywać się pewnych zdrowych elementów. Minister Kultury niejednokrotnie podnosił te problemy. Uważam jednak za rzecz oczywistą, że w znacznej części kultura powinna być promowana i finansowana przez budżet państwa. Jak się orientuje rząd zamierza w najbliższym czasie podjąć prace nad ustawą o mecenacie państwowym.

— Panie Ministrze, czy zainteresowanie muzyką jazzową pomaga panu w kierowaniu resortem spraw wewnętrznych?

— Nie zamierzam ukrywać, że filozofię i jazz traktuję jako swoistą odtrutkę na bolesne przejawy codzienności — brutalizację życia politycznego i wzrost przestępczości. Nie wiem, czy mi pan uwierzy, ale wolałbym być dobrym pianistą jazzowym niż ministrem spraw wewnętrznych.

O autorach

Krzysztof Bondaryk

ur. w 1959 r., generał brygady, historyk. Przed 1989 r. działacz opozycji demokratycznej. W latach 1990–1996 szef Delegatury UOP w Białymstoku, w latach 1998–1999 wiceminister spraw wewnętrznych i administracji. Po odejściu ze służby państwowej pracował w sektorze telekomunikacyjnym i bankowym (2001–2007). Ekspert sejmowej Komisji do Spraw Służb Specjalnych (2006–2007). Od stycznia 2008 r. do stycznia 2013 r. szef Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Następnie dyrektor Narodowego Centrum Kryptologii. Obecnie dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa MSWiA, Pełnomocnik Ministra ds. Systemu Bezpiecznej Łączności Państwowej.

Gromosław Czempiński

ur. w 1945 r., generał brygady, ekonomista. Były funkcjonariusz wywiadu PRL, po pozytywnej weryfikacji w 1990 r. służył w Urzędzie Ochrony Państwa, pełnił funkcję zastępcy szefa Zarządu Wywiadu. W latach 1993–1996 szef UOP. Członek Zarządu Stowarzyszenia im. Generała Sławomira Petelickiego. Po przejściu na emeryturę zajmował się konsultingiem oraz działalnością biznesową i społeczną.

Henryk Jasik

ur. w 1945 r., generał brygady, inżynier chemik. Dyrektor Departamentu Wywiadu MSW, po pozytywnej weryfikacji funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa. W 1990 r., gdy był pierwszym szefem Zarządu Wywiadu UOP, funkcjonariusze tej służby przeprowadzili tajną operację ewakuacji oficerów wywiadu USA z Iraku. W 1993 r. doradca ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Andrzeja Milczanowskiego. W latach 1993–1995 pracował na stanowisku podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych odpowiedzialnego za nadzór nad służbami specjalnymi, Strażą Graniczną i Policją. Po odejściu z resortu zajmował się doradztwem w zakresie bezpieczeństwa.

Andrzej Kapkowski

ur. w 1944 r., generał brygady, psycholog. Od 1968 r. funkcjonariusz Kontrwywiadu MSW, a po pozytywnej weryfikacji funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa. W latach 1993–1996 zastępca dyrektora Zarządu Kontrwywiadu UOP, następnie przez kilka tygodni dyrektor tego departamentu. Od 1996 do 1997 r. szef UOP. Po odejściu ze służby doradca w Kancelarii Prezydenta RP oraz doradca Premiera RP do spraw bezpieczeństwa i służb specjalnych. Po przejściu

na emeryturę aktywny w sferze społecznej, wykładowca akademicki na wielu uczelniach.

Grzegorz Kapla

podróżnik, dziennikarz i pisarz. Autor wielu książek podróżniczych i reportażowych, a także powieści kryminalnych. Ukończył filologię na Uniwersytecie Szczecińskim. Zanim na dobre poświęcił się pisaniu, pracował w wielu miejscach: czyścił zęzy na statkach, malował kominy, produkował papier, a także próbował napisać słownik polsko-papuaski. Z Andrzejem Milczanowskim połączył go epizod pracy w tygodniku „Nowy Wyspiarz”, w którym Milczanowski publikował felietony o muzyce.

Andrzej Kosnarewicz

ur. w 1961 r., pułkownik. Przed 1990 r. działacz opozycji demokratycznej w Poznaniu. W latach 1997–1998 dyrektor, a następnie (1998–2001) zastępca dyrektora Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Poznaniu odpowiedzialny za pracę dwóch wydziałów zamiejscowych tej delegatury: w Gorzowie Wielkopolskim i w Zielonej Górze. Był pomysłodawcą i twórcą koncepcji powołania Delegatury UOP na terenie województwa lubuskiego. W 2000 r. został pełnomocnikiem szefa UOP ds. utworzenia delegatury lubuskiej, a następnie dyrektorem Delegatury UOP w Zielonej Górze (2001–2002). Obecnie doradca Szefa ABW.

Dariusz Łuczak

ur. w 1959 r., generał brygady, prawnik. W latach 1999–2001 zastępca szefa, do 2002 r. szef Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Białymstoku, a następnie Delegatury Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Białymstoku (do 2008 r.). Dyrektor Departamentu Ochrony Ekonomicznych Interesów Państwa i Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej ABW (2008–2011), odpowiedzialny za trzy Departamenty ABW: Bezpieczeństwa Ekonomicznego Państwa, Kontrwywiadu oraz Zwalczania Terroryzmu (2011–2012). W tym czasie pełnił również obowiązki dyrektora Delegatury Stołecznej ABW. W kwietniu 2012 r. mianowany zastępcą szefa ABW, a w latach 2013–2015 szef ABW.

Piotr Niemczyk

ur. w 1962 r., absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Przed 1989 r. aktywny działacz szczecińskiej opozycji demokratycznej. Po powstaniu Urzędu Ochrony Państwa dyrektor Biura Analiz i Informacji (1990–1992), zastępca dyrektora

Zarządu Wywiadu UOP (1993–1994). Ekspert sejmowej Komisji do Spraw Służb Specjalnych (1998–2001). Podsekretarz stanu w Ministerstwie Gospodarki (2001). Od kilkunastu lat niezależny ekspert w dziedzinie analizy i białego wywiadu, prowadzi szkolenia z zakresu bezpieczeństwa oraz wywiadu konkurencyjnego.

Irena Popoff

ur. w 1951 r., politolog o specjalności filmoznawstwo, dziennikarka telewizyjna i prasowa. Po wprowadzeniu stanu wojennego zwolniona z pracy w Komitecie ds. Radia i Telewizji za współorganizowanie „Solidarności”. W latach 1990–1994 pierwsza w historii cywilnych służb specjalnych w wolnej Polsce rzeczniczka prasowa Urzędu Ochrony Państwa. Następnie specjalista w Departamencie ds. Migracji i Uchodźstwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji (1995–1997) oraz doradca Marszałka Sejmu RP (1998–2001).

Wojciech Raduchowski-Brochwicz

ur. w 1960 r., pułkownik, prawnik, urzędnik państwowy, współtwórca specjalnej jednostki wojskowej GROM. Przed 1989 r. działacz krakowskiej opozycji demokratycznej. Sekretarz Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej. W latach 1990–1992 zastępca dyrektora Zarządu Kontrwywiadu UOP. Następnie doradca ministra spraw wewnętrznych, zastępca Komendanta Głównego Straży Granicznej oraz doradca w spółkach Skarbu Państwa. Obecnie pracuje jako prawnik.

Edward Radziejewicz

ur. w 1948 r., działacz opozycji demokratycznej związany z NSZZ „Solidarność”. Uczestnik strajków w Porcie Szczecin-Świnoujście, współtwórca struktur „Solidarności” na Pomorzu Zachodnim. Brał udział w obradach plenarnych Okrągłego Stołu. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyżem Wolności i Solidarności. Bliski współpracownik Andrzeja Milczanowskiego w czasach ich działalności opozycyjnej.

Michał Stręk

ur. w 1947 r., pułkownik, prawnik, inżynier. Do 1989 r. działacz opozycji demokratycznej na Pokarpaciu. W latach 1990–1996 i 1998–2001 szef Delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Rzeszowie. W 2000 r. organizator i pierwszy komendant Centralnego Ośrodka Szkolenia UOP w Emowie. Doradca sejmowej Komisji do Spraw Służb Specjalnych podczas V kadencji Sejmu RP oraz sejmowej komisji śledczej ds. nacisków podczas VI kadencji Sejmu RP.

Jan Wesołowski

ur. w 1943 r., prawnik, działacz podziemnej opozycji demokratycznej. W drugiej połowie lat 80. XX w. za namową Andrzeja Milczanowskiego został oficjalnym doradcą pomorskiej „Solidarności” oraz rozpoczął pracę w ramach Obywatelskiego Komitetu Porozumiewawczego. W 1990 r. został funkcjonariuszem Urzędu Ochrony Państwa. Powierzono mu utworzenie Delegatury UOP w Szczecinie, którą kierował od 1990 do 1997 r.

Jan Widacki

ur. w 1948 r., prawnik, profesor nauk prawnych, dyplomata. Autor kilkunastu książek i kilkuset artykułów naukowych, biegły sądowy. Specjalista w zakresie kryminalistyki, kryminologii, organizacji ochrony porządku i bezpieczeństwa. W latach 1990–1992 wiceminister spraw wewnętrznych, następnie do 1996 r. ambasador RP na Litwie. Poseł na Sejm RP VI kadencji, podczas której był członkiem Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej.

Marian Zacharski

ur. w 1951 r., generał brygady, absolwent prawa Uniwersytetu Warszawskiego, pisarz. Od 1975 r. pracował na terenie USA w firmie Polamco. Zaangażowany w działalność wywiadowczą MSW zdobył dziesiątki stron dokumentacji dotyczącej techniki radarowej, rakiet, samolotów. Aresztowany przez FBI w czerwcu 1981 r. Dzień po ogłoszeniu stanu wojennego skazany na dożywocie. Wrócił do Polski w czerwcu 1985 r. w wyniku wymiany szpiegów na moście Glińckie w Berlinie. W 1996 r. wyjechał na stałe z Polski.

Od wydawnictwa

Wydawnictwo Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego dziękuje wszystkim autorom za podzielenie się swoimi wspomnieniami o Andrzeju Milczanowskim oraz za udostępnienie prywatnych pamiątek, a także Henrykowi Krystkowi, dyrektorowi Archiwum Państwowego w Poznaniu, dzięki uprzejmości którego ilustrujemy tę antologię unikalnymi zdjęciami z lat 80. XX w.

Dziękujemy również redakcji magazynu „Jazz Forum” za zgodę na publikację wywiadu ze śp. Andrzejem Milczanowskim, który ukazał się na łamach tego czasopisma w 1993 r.

